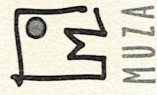


SYLWIA WINNIK

*Dziewczęta
z Auschwitz*

GŁOSY OCALONYCH KOBIET



MUZA

Spout i Turystyka

Wstęp

Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau

Pod macierzysty obóz koncentracyjny Auschwitz I, założony w 1940 roku decyzją Heinricha Himmlera, podlegały Birkenau oraz Monowitz, a także – w szczytowym stadium rozwoju w 1944 roku – ponad czterdziści filii obozu w odległości do kilkuset kilometrów, również na terenie Niemiec.

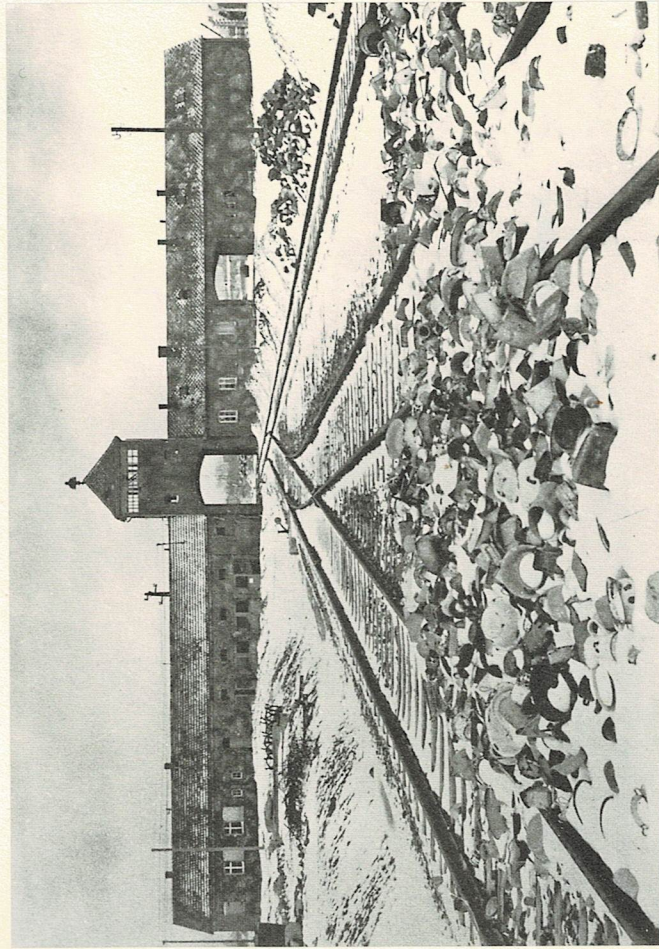
Macierzysty Auschwitz był obozem koncentracyjnym, w którym w nieludzkich warunkach pracowali i z wycieńczenia umierali więźniowie. Od 1942 roku stał się miejscem masowej zagłady, głównie Żydów. Trwało to do października 1944, kiedy nastąpiło apogeum eksterminacji. Utworzenie w KL Auschwitz obozu dla kobiet związane było najprawdopodobniej z potrzebą zmniejszenia liczby osadzonych w przeludnionym Ravensbrück¹.

Do budowania i tworzenia KL Birkenau (Auschwitz II) wykorzystywano więźniów i więźniarki. Prace rozpoczęły się w 1941 roku, by ostatecznie w pierwszej połowie sierpnia 1942 roku zlikwidować w obozie macierzystym oddział kobiecy i przenieść około trzynastu tysięcy więźniarek do Birkenau na tak zwany odcinek Bia. W 1943 roku poszerzono bloki kobiece o Blb.

Okolo trzydziestu procent wszystkich więźniów zarejestrowanych w KL Auschwitz-Birkenau stanowiły kobiety². 26 marca 1942 roku do KL Auschwitz przywieziono pierwszy ich transport – dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć Niemek, które wcześniej przebywały w KL Ravensbrück. Wówczas przetransportowano także dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewczęć Żydówek ze Słowacji. Niedługo

¹ Konzentrationslager Ravensbrück – niemiecki obóz koncentracyjny usytuowany w wiosce Ravensbrück, niedaleko miejscowości Fürstenberg w Brandenburgii, w Niemczech. Został założony w listopadzie 1938 r., funkcjonował w latach 1939–1945.

² *Ilu ludzi zginęło w KL Auschwitz (Liczba ofiar w świetle źródeł i badań 1945–1990)*, Oświęcim 1992, s. 61, 64 [w:] I. Strzelecka, *Głosy Pamięci 12, Kobiety w KL Auschwitz*, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oświęcim 2016, s. 7.



Tory kolejowe wewnątrz obozu i Brama Śmierci. Fot. S. Mucha, 1945 rok. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

Wyciągam dyktafon, ustawiam go na stole i widzę spojrzania pięknych, doświadczonego przez życie kobiet wędrujące w stronę urzędzenia. Zanurzają się we wspomnienia sprzed siedemdziesięciu lat. Czytały w ich oczach nieme wyznaczenie, że wolałyby wyrzucić z pamięci tamte przeżycia. Ale jednocześnie mają świadomość, że to właśnie niechciana pamięć ocala od zapomnienia tych wszystkich, którzy wtedy zginęli.

Choć od przeżytego koszmaru minęło tyle lat, one nigdy do końca nie opuszczają obozu. Wracają do niego we wspomnieniach, w nawiedzających je nocami koszmarami, kiedy śnią o ucieczce, która nie ma najmniejszych szans na powodzenie. Bo to przecież KL Auschwitz-Birkenau. Niektóre obrazy wracają częściej. Migawki zatrzymane w pamięci. Twarze ogolonych kobiet. Nieruchome oczy, w których odbija się jeszcze twarz kata.

Oczy moich bohaterów zmieniają się, widzę w nich ogromny smutek i ból karmiony stracją. Podczas rozmowy niejednokrotnie ronimy łzy.

Mówię o nich „Dziewczęta”, bo są wśród nich kobiety, które do obozu trafiły w wieku sześciu, ośmiu lat, jedna, która się tam urodziła, ale i takie, które obozowe życie wprowadziło w dorosłość. Są niewątpliwie bohaterkami. Stały się symbolem i głosem ocalałych, ale również tych wszystkich kobiet, które ginąc tragiczną śmiercią w obozie zagłady, same nigdy nie miały możliwości opowiedzieć okrutnej historii.

Wychodząc na rampę z bydlęcych wagonów w niemieckim obozie zagłady, nie mogły wiedzieć, że każdego dnia będą musiały walczyć o życie. O kolejny dzień. Czasami samotnie, bo brutalnie oderwane od matek dziewczynki skazane były same na siebie. Dopiero przyszłość miała pokazać, że to, co najgorsze, było dopiero przed nimi.

Trafiły do KL Auschwitz-Birkenau z całej Polski i reszty świata, aresztowane w różnych okolicznościach. Pragnęły chodzić do szkoły, uczyć się języków, czytać poezję, założyć rodzinę... Piękne, młode, ambitne. Każda inna. Wszystkie miały już za chwilę stać się numerami bez przyszłości. Podobnymi do siebie. Wychudzionymi, łysymi, przezroczytymi.

Niektóre z pań mają podobne wspomnienia. Wykonane przez jednego z więźniów malowidła na ścianie bloku dziecięcego 16A były przez część z nich obserwowane z różnych stron baraku, z innych koi. Oznacza to, że znajdowały się w obozie w tym samym momencie. Tam się jednak nie poznały. Stały godzinami na wspólnych apelach, moknąc na deszczu, trzęsąc się z zimna. W jednym bloku lkały z tęsknoty za rodzicami, rodzeństwem, umierały z głodu, miały się podczas transportów nowo przybyłych, patrzyły na siebie, zadając sobie może pytanie: kim jest tamta dziewczyna z długimi warkoczami? Kim jest ta blada z przerażenia

później, bo już 27 kwietnia 1942 roku, do KL Auschwitz trafiły pierwsze transporty Polek z więzień w Krakowie i Tarnowie.

Największą grupę kobiet przywożonych do obozu stanowiły Żydówki. Do połowy sierpnia 1943 roku najliczniejsze były Żydówki słowackie – około siedmiu tysięcy kobiet, a także około sześciu tysięcy Żydówek holenderskich i francuskich. Wśród nich przeważały te w wieku od osiemnastu do czterdziestu lat. Nie bez powodu były to kobiety w wieku produkcyjnym. Niemieckie władze wykorzystywały je jako niewolniczą siłę roboczą – wykończoną przez nadludzką pracę i choroby były zastępowane kolejnymi³.

Oczywiście nie wszystkie osoby przywiezione do niemieckiego obozu zagłady były zdrowe i młode. Wśród nich znajdowały się osoby starsze, kobiety ciężarne, chore, które nie nadawały się do wykonywania ciężkich robót. By oddzielić ludzi zdolnych do pracy od tych, którzy ze względu na warunki zdrowotne i wiek nie byli w stanie jej wykonywać (niemalże natychmiast trafiali do komór gazowych), Niemcy zaczęli dokonywać selekcji już na rampie kolejowej. Od lipca 1942 roku selekcja na rampie stała się czynnością regularną⁴.

Człowieczeństwo

Każda z pań wita mnie uśmiechem. Na stole już przygotowane są szklanki, które zaraz napełnią się herbatą. Leżą starannie ułożone zdjęcia, które moje rozmówczynie będą mi pokazywać. Fotografii nie brakuje też na komodach i ścianach. Czarno-białe i kolorowe, przedstawiają historię ich życia. Zdjęcie ze ślubu, ukochani, nieżyjący już rodzice, a dalej dzieci i wnuki. Czasami nawet prawnuki.

Fotografie, choć nieruchome, tętnią życiem i miłością. Na każdej widzę uśmiechnięte twarze.

– To mój wnuczek Tomek. Ma siedem miesięcy, za kilka dni jedziemy na jego chrzciny – mówi pani Barbara, pokazując jedno ze zdjęć. Jest dumna i szczęśliwa. – Mamy dobre życie – dodaje. Wsluchuję się w drżący ze wzruszenia głos kobiety, która jest naocznym świadkiem bezwzględnej historii. Nie mam na myśli wyłącznie wydarzeń związanych z losami jej rodziny, lecz z setkami tysięcy ludzi, których spotkał podobny los, gdy byli w niemieckim obozie zagłady Auschwitz-Birkenau.

³ I. Strzelecka, *Głowy Pamięci 12, Kobiety w KL Auschwitz*, dz. cyt., s. 7–12.

istotka? Dopiero po wyjściu z obozu ich losy się skrzyżowały. Od tej pory mogły dzielić się bolesnymi wspomnieniami. Wspierać się nawzajem i pomagać sobie, uczyć się na nowo żyć.

Kobiety, które miałam zaszczyt poznać, utwierdziły mnie w przekonaniu, że człówek nawet w najgorszych warunkach, nie mając niczego do ofiarowania, potrafi dać drugiemu to, co najcenniejsze – samego siebie. Potrafi zażądać o inną osobę. Zaopiekować się nią, wykorzystując niewielkie możliwości, jakie akurat posiada.

Między innymi o tym jest ta książka. Przedstawiam w niej osoby, które potrafiły przekroczyć niewyobrażalną granicę dobroci i bezinteresowności. Umiały w niebezpiecznych i bezwzględnych obozowych warunkach przżyć z pomocą, ofiarnością, zaryzykować dla kogoś życie, odstąpić ostatni kawałek chleba. Tej pajdce chleba nie dorównają wartością żadne pieniądze – w niemieckim obozie zagłady była ona bezcenna.

Ta książka ukazuje nie tylko człowieka jako osobę, ale też szereg jego zachowań warunkowanych sytuacjami, w których się znalazł. Inaczej myśli i podejmuje zupełnie inne decyzje, nie będąc w stanie zagrożenia, aniżeli w sytuacji walki o życie swoje czy rodziny. Trudne, a w przypadku osób przebywających w obozach zagłady także drastyczne sytuacje i zdarzenia uwyppuklają w człowieku konkretne zachowania, a co za tym idzie – działania, do których prawdopodobnie nie byłby zdolny, gdyby w takiej sytuacji się nie znalazł. Dzięki relacjom moich rozmówczyń, a także historiom innych więźniów, możemy jak na dłoni zobaczyć, na czym polegała trudność podejmowanych decyzji. Więźniowie niejednokrotnie stawiali przed wyborem: umrzeć z głodu czy ukraść chleb innej osobie, zaryzykować własne życie i pomóc drugiemu człowiekowi czy pozostać niewzruszonym na cierpienie i uchronić się przed niebezpieczeństwem.

Wzruszona historiami, które usłyszałam, przekonałam się niejednokrotnie, jak trudno zachować w sobie dobro w ekstremalnych sytuacjach. Moje rozmówczynie uświadomiły mi jednak, że tylko bycie do końca człowiekiem dobrym, czyli wrażliwym na ludzką krzywdę, ale też poszukującym sprawiedliwości, spowoduje, że pozostaniemy w zgodzie z wewnętrznym „ja”. Pani Sabina, jedna z kobiet, które przeżyły obóz zagłady, wspomni później, że gdyby nie pomogła potrzebującym w obozie, nie mogłaby spojrzeć sobie w oczy. Dziewczęta, których historie przybliżam w tej książce, do końca pozostały „ludzkie” mimo prób, na jakie wystawił je los. Oczywiście nie wszystkim osadzonym się to udało. Ale pod żadnym pozorem nie możemy oceniać zachowań byłych więźniów. Dopóki sami nie znajdziemy się w równie dramatycznych warunkach, najwyczejniej w świecie nie mamy do tego prawa...

Kobiety, z którymi rozmawiałam, będąc w obozie, dawały z siebie dobro, które do nich wróciło. Ich sumienność, pokora, ale także patriotyzm i chęć życia, które tak ciężko z siebie wykrzesać, gdy wróg stoi nad głową z kolbą karabinu, niejednokrotnie sprawiały, że trafiali na ludzi, którzy i im zechcieli pomóc. To w dużym stopniu ułatwiło im przeżycie. Oczywiście na przetrwanie w obozie złożyło się mnóstwo czynników (niektórym pomogła obecność kogoś bliskiego, inne trafiły do mniej obciążającej pracy, jeszcze inne miały wyjątkowo silną psychikę i były bardziej wytrzymałe fizycznie). Jednak wszystkie moje rozmówczynie twierdzą, że za dobro los odpłaca się nam dobrem. I gdyby o tym pamiętać na co dzień, także dziś, uczynilibyśmy świat lepszym.

Mimo trwającej wiele miesięcy pracy nad tą książką, wielu rozmów z bohaterkami, przeczytanej literatury, obejrzanych filmów dokumentalnych nadal nie potrafię pojąć ogromu krzywdy, jaka została wyrządzona więźniom niemieckiego obozu zagłady w KL Auschwitz-Birkenau. Jest tak wielka. Sądzę, że nie można sobie tej gehenny wyobrazić, ale próby zrozumienia tego, co się wówczas wydarzyło, powinniśmy nieustannie podejmować. Nigdy nie można powiedzieć czy napisać wystarczająco dużo na ten temat.

Opowieści byłych więźniarek KL Auschwitz-Birkenau to żywa historia, której nie można zapomnieć. Nie po to, by ją roztrząsać w poszukiwaniu kolejnych konfliktów, tylko aby nauczyć się na błędach przeszłości, że nienawiść, chęć panowania, ograniczanie wolności człowieka i łamanie podstawowych jego praw prowadzą do niewyobrażalnej destrukcji. Drugą wojną światową stanowi tego najdobitniejszy przykład i powinna być przestrogą dla nas wszystkich.

Ze wszystkich wspomnień zapisanych w książce na światło dzienne wycho- dzą emocje skrywane czasami przez lata. Trudno się do nich wraca – mówią ko- biety. Zaznaczają, że chciałyby już zapomnieć, nie rozgrzebywać ran, ale wiedzą, że muszą mówić, by przekazać kolejnym pokoleniom, że wojna sieje zniszczenie.

Wojna zabija ojców i matki.

Rozdziela rodziny.

Osieroca dzieci.

W książce starałam się przekazać brutalne wspomnienia w sposób dobitny i dosadny, nadając im jednak przystępną formę. Mam nadzieję, że dzięki temu więcej czytelników zechce zapoznać się z tym ważnym tematem. Dziewczęta za- sługują na to, aby o nich przeczytać.

Panie Urszula, Zofia, Leokadia, Janina, Seweryna, Irena, Barbara, Alina, Walentyna, Sabina, Wiesława i Lucja mówią o swoim życiu, bólu w imieniu tych kobiet, które swoich historii opowiedzieć już nie zdały.

Nr obozowy: 22524

IRENA WIŚNIEWSKA z domu Jankowska

Urodzona: 9 lipca 1924 roku w Łomży

Data wywózki do Auschwitz: 14 sierpnia 1943 roku

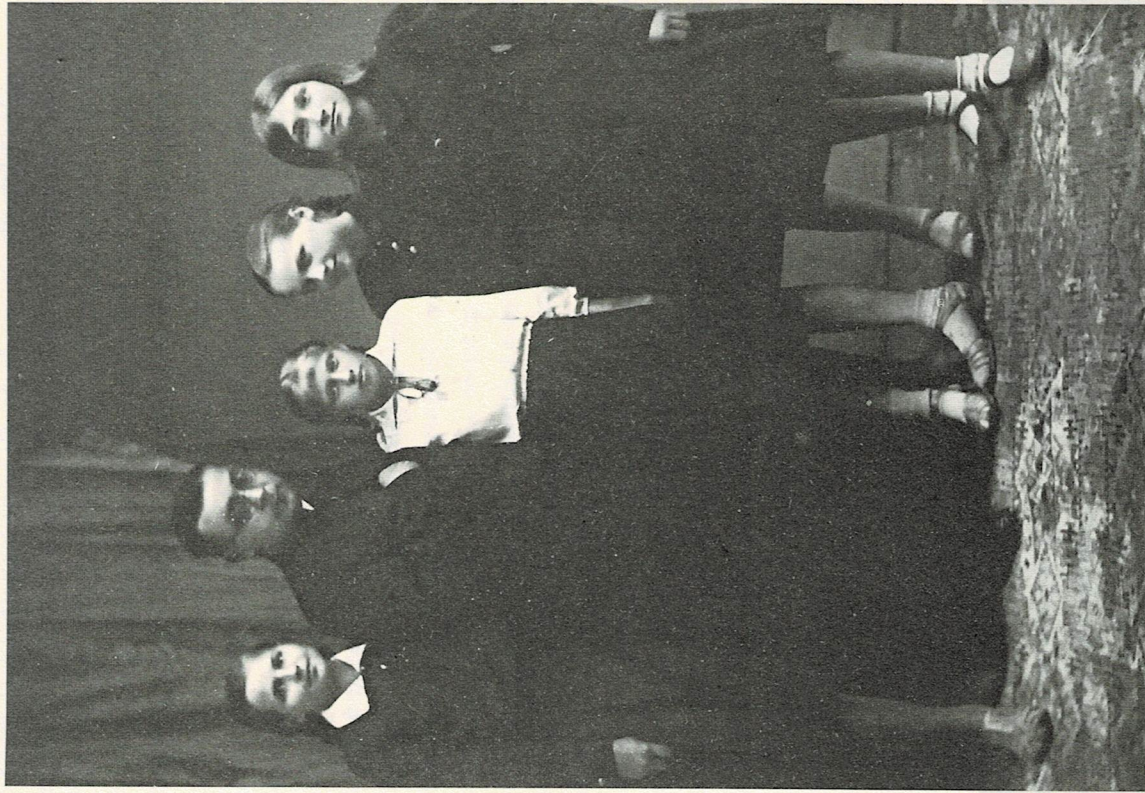
Obozy i podobozы koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau, Ravensbrück, Neustadt-Glewe

Praca w rewirze stała się dla mnie misją. Chciałam i jeśli tylko mogłam, ratowałam ludzi. Robiłam wszystko, żeby pomóc chorym kobietom przeżyć.

IRENA WIŚNIEWSKA

„Pielęgniarka” z misją

Kiedy dostrzegła, że więźniarki, które pełnią funkcję pielęgniarek, dostały czyste ubrania i nie zgolono im włosów, zapagnęła, aby kiedyś jej córka została lekarzem. Sama mogła spełnić się w roli „pielęgniarki” w obozowym rewirze. Pomaganie innym ludziom było dla niej najważniejsze. Nawet jeśli ryzykowała życiem. I było coś jeszcze... poezja i przyjaźnie nawiązane w tym nieludzkim świecie. Tutaj zdarzało się, że pracowała ze Stanisławą Leszczyńską, poznała pisarkę Annę Zahorską i poetkę Krystynę Żywulską.



Irka (pierwsza z lewej) z koleżankami ze szkoły i z księdzem Mizerskim, Ostrów Mazowiecka, 1938 rok. Fot. Archiwum rodzinne

Apel poranny

Nad Oświęcimiem słońce wschodzi
różową smugą jasną.
Stoimy w rzędzie: starzy i młodzi,
a w górze gwiazdy gasną.

Stoimy wszyscy w rannym apelu
co dzień, w pogodę czy słotę
i widać tylko na twarzach wielu
rozpacz, ból i tęsknotę.

Bo może teraz – (szara godzina)
w wym domu dziecko płacze?
Może mnie mama moja wspomina...
czy ja ją kiedy zobaczę?

Milo pomarzyć, że teraz może
najdroższy mój o mnie myśli.
A jeśli – nie daj, o dobry Boże –
oni po niego przyszedli?...

A akcja toczy się pięknie dalej,
jak na filmowym seansie.
Tuż niedaleko, u zbiegu dwóch alej
zajeżdża ktoś w dylżansie.

I zeskakują z gracją, powoli
błękitne aufseherki.
My zamieniamy się w słupy soli,
w nicość, w bezsens, w numerki.

Potem nas liczą z dumną pogardą
one – te z wyższej rasy.
One niemiecką są awangardą.
Liczą to bydlę w pasy.

I nagle nadgasz jak prądem rażona
i błysnie myśl jak rakietą,
to przecież także matka lub żona.

Wolno się snuje film sensoryjny.
Achtung! – równać na przedzie!
i moment ultrakulminacyjny:
Lagerkomendant jedzie.

Czy to możliwe, że świat taki podły...
Gwizdek i chwila ciszy.
W duchu gorące wznosimy modły...
Czy jest ktoś, kto nas usłyszy?

Słońce już wyżej wschodzi na niebie
różową, jasną smugą.
Boże, my tak błagamy Ciebie,
prawda, że to już niedługo?

Wrzesień, 1943⁵

Ten jeden apel

Staliśmy piątkami na placu. Trwał właśnie jeden z porannych apeli. Każdy z nich wspominam z lękiem, ale ten jeden szczególnie utkwił mi w pamięci. Kiedy na plac wkroczył lekarz Werner Rohde⁶, wśród dziewcząt zapanowała panika. Chaos, który niemal w tej samej chwili musiał zostać opanowany. Pod rygiem kary, a nawet śmierci, podczas apelu nie wolno było nam rozmawiać, ruszać się. W przeciwnieństwie do nas lekarz spacerował spokojnie, rozglądał się. Obserwował każdą z osobna. Łatwo było mnie zauważyć, bo byłam wysoka. Miałam sto siedemdziesiąt jeden centymetrów wzrostu. Nie chciałam rzucić mu się w oczy. Kto wie, dokąd by mnie zabrał? Co by ze mną zrobił? Skuliłam się tak bardzo, jak tylko mogłam, jednak niewiele to dało. Spośród kilkuset dziewcząt wybrał dziesięć. W tym mnie. Czy dziś umrę? – to było chyba najczęstsze pytanie, jakie zadawała sobie każda z nas podczas pobytu w obozie.

Krótkie przejście pomiędzy barakami i już wiem, gdzie jestem – rewir.
Czy jestem chora? A może będę? Gdy okazało się, że przyprowadzono nas

⁵ K. Żywulska, *Apel poranny* (09.1943) [w:] *Na mojej ziemi był Oświęcim. Oświęcim w poezji współczesnej*, wybór i opracowanie Adam A. Zych, Oświęcim 1987, s. 322–325.

⁶ Werner Rohde (1904–1946) – niemiecki zbrodniarz wojenny, lekarz SS w obozach koncentracyjnych Auschwitz-Birkenau i Natzweiler-Struthof.

do obozowego szpitala w charakterze pielęgniarek, przez chwilę poczułam ulgę. Od razu dostałyśmy szczepionkę na tyfus, bo w obozie była to najczęstsza, na równi z czerwonką (z niemieckiego zwaną durchfallern), choroba. To raczej dobrze, myślałam naiwnie. Sądziłam, że pielęgniarki są w szpitalu potrzebne. Więźniowie bardzo chorują, są słabi, doznają urazów. Esesmani natomiast chcą jednej z dwóch rzeczy. Aby więźniowie jak najszybciej wrócili do roboty lub – jeśli są do pracy nieprzydatni – by natychmiast się ich pozbyć. Jeśli chociaż przez chwilę uwierzyłam, że mój los pielęgniarki będzie choć odrobinę lepszy od losów pozostałych więźniarek, byłam w błędzie. Po dwóch tygodniach wystąpiły u mnie – i kolejno u każdej z dziewczyn – typowe objawy tyfusu. Wysoka gorączka, bóle głowy. Przez te kilka dni przebywania w szpitalu patrzyłam na konające kobiety. Obserwując, jak umierały, uznałam, że jeśli miałabym możliwość wyboru, to chciałabym odejść jak one – w majakach wywołanych gorączką. Bo majaki powodują, że przed śmiercią można spotkać mamę, jak prawdziwą, całą i zdrową. Można zobaczyć synka i nie pamiętać, że tuż po selekcji został spalony w piecu. Można zapomnieć, że esesmani odarli cię z godności, rozbierając do naga, goląc głowę, poniewierając w błocie twoje chude ciało pogryzione przez wszy.

Umrę. Tylko czy odejdę nieświadoma i przez to nieco bardziej szczęśliwa? Nie wszystkie z dziesięciu dziewczyn przeżyły ten, jak się dziś okazuje, eksperyment. Czy odeszły w złudnej radości? Tego nie wiem. Wiem jednak, że dla esesmanów ludzkie życie nic nie znaczyło. Bowiem szczepionki, które nam podali, zaraziły nas tyfusem, a nie, jak sądziłam naiwnie, zabezpieczyły przed zachorowaniem. Aplikowane nam później medykamenty służyły weryfikacji specyfików tworzonych w celu leczenia żołnierzy niemieckich. Te, które dawały zadowalające rezultaty w walce z tyfusem, miały trafić do Wehrmachtu. Stałam się szczerem doświadczalnym.

Przerwany sen

Choroba skłoniła mnie do wspomnień. Tych dobrych i tych smutnych. Notorycznie rozważałam, jak to się stało, że trafiłam do Auschwitz. Zdawałam sobie sprawę, że takie myśli do niczego nie prowadzą i nie cofnę czasu. Ale nie potrafiłam pogodzić się z losem.

Początki okupacji będą już zawsze kojarzyć mi się z trzema rzeczami. Z opustoszałymi półkami w sklepach, wzmrożoną ilością zakazów ze strony Niemców oraz z pojmaniem i zabiciem dyrektora mojej szkoły, pana Warchalskiego.

Sprawy z tamtych czasów, które dziś historycy tak skrętnie opisują w książkach, znane są mi z własnego doświadczenia. Nie było mi przecież obojętne to, co działo się w kraju. Czulałam się w obowiązku walczyć o naszą zagrożoną wolność. Byłam młodą Polką i to mi wystarczyło, aby działać. Jako nastoletnia dziewczynka jeździłam na rowerze i rozwoziłam po pobliskich wsiach pocztę konspiracyjną. Szkoliłam się również na sanitariuszkę. Harowałam się być rozważna i z nikim nie rozmawiałam o swoich działaniach, nawet w domu. Podejrzywałam, że mój tata, który był policjantem, i bracia, a miałam ich pięciu, też są konspirantami. Nie miałam pewności, bo wszyscy wówczas uznawali jedną podstawową zasadę: każdy wie, za co jest odpowiedzialny, ale z nikim o tym nie rozmawia. Dyskrecja była podstawą relacji z innymi ludźmi.

Był 27 maja 1942 roku. Noc. Wszyscy spali. Mój ojciec z mamą, ja, brat i dwóch wujków z Zambrowa z rodzinami. Nagle ciszę przerwał głośny łomot do drzwi. Ojciec zerwał się z łóżka. Czulałam, że wydarzy się coś złego. Nikt w nocy nie przychodzi bez powodu. Z zewnątrz dobiegały do nas coraz głośniejsze rozmowy. Uporczywe łomotanie w drzwi nasilało się z każdą chwilą. Nie myliliśmy się. Gestapowcy. Wepchnęli się siłą do pokoju, w którym spaliliśmy. Aresztowali nas. Kiedy wyszliśmy przed dom, oprócz mnie, taty i najstarszego brata taty z córką Stasią dostrzegłam też innych pojmanych. Sąsiadów i całkiem nowe twarze. Jedni starsi, inni bardzo młodzi, jak ja. Gdy zostałam aresztowana, miałam siedemnaście lat.

A wszystko przez jednego z sąsiadów. Mówiono, że został przesiedlony z Ukrainy. Był częstym, choć nieproszonym gościem w moim domu. Nikt nie miał śmiałości go wypraszać. Lepiej było z nim nie zadzierać. Dopytywał, prowokował, chciał wiedzieć, czy mamy jakieś wieści z konspiracji. Ni-
gdy się nie zdradziłam.

Pewnego wieczoru siedziałam przy piecu kaflowym i czytałam „Bibułę” – niezależne pismo konspiracyjne. Kiedy wchodził do domu, szybko schowałam je za siebie, ale zdążył zauważyć, jak za plecami wiskam coś w szczerbinę koło pieca. Rozpoczął swoje „śledztwo” i chociaż niczego ode mnie się nie dowiedział, musiał dać cynk Niemcom. Gdyby nie to, że żołnierze od tego właśnie miejsca zaczęli rewizję, być może nie podejrzewałabym go. Dziś wiem, że sprzedał nas za czterysta złotych.

Noc po aresztowaniu spędziliśmy w starym magazynie po browarze. Choć nie mogłam policzyć, bo dookoła panowała ciemność, było nas wielu – w tym moi rówieśnicy, nauczyciele, także mój ulubiony historyk, pan Ciochoń. Nie mogłam zasnąć. Rozmyślałam. Bałam się o rodzinę i o siebie. Chciałam, aby wszyscy znów byli wolni. Zastanawiałam się, co będzie rano.

zostało aresztowanych, a rzekomo niejednemu udało się już wyjść na wolność. Tylko dzięki poznałej w celi kobiecie przetrwałam więzienie na Pawaku. Przy niej weszłam w pełnoletność – 9 lipca 1942 roku skończyłam osiemnaście lat.

Anna Zahorska⁷, bo tak się nazywała ta kobieta, była przedwojenną pisarką, poetką i mocno zapisała się w moim życiu. Kiedy ją poznałam, wyglądała na pięćdziesiąt kilka lat. Rozmawiała ze mną o poezji, deklamowała wiersze, pytała, co lubię czytać, i opowiadała o sobie. Rozważaliśmy sens ukryty w niejednej powieści i dramacie. Starła się, jak tylko mogła, odwrócić moją uwagę od traumy związanej z wojną i tęsknotą za rodziną. Traktowałam ją jak drugą matkę, która wzięła mnie pod opiekę.

W więzieniu doskwierał nam ziąb i głód. Nie muszę chyba tłumaczyć, w jaki sposób byliśmy traktowane. Szczęście w nieszczęściu, że pani Zahorska była warszawianką. Przychodziły do niej paczki z jedzeniem. Duży chleb, kawałek masła, wędliny – to wszystko dzieliła pomiędzy nas, często dając mi więcej niż sobie. Miała w zwyczaju powtarzać:

– Ja jestem już stara, a ty młoda. Musisz jeść więcej.

Swoje pozytywne nastawienie przekazywała też innym więźniarkom. Podtrzymywała nas na duchu, a ja się zastanawiałam, skąd ma w sobie tyle siły. Udało się jej to, co zamierzała. Dzięki niej uwierzyłam, że cała ta makabra może skończyć się dobrze, że jeszcze jest szansa.

Tramwaj na Szucha 25

W czerwcu 1942 roku Niemcy zabrali mnie na pierwsze przesłuchanie. Przez szparę w „budzie”, którą jechał, obserwowałam ulicę. Zachwycałam się kobietami w kolorowych sukniach, kwaciarkami oblanymi letnim słońcem, pozornie beztrojskim, tętniącym życiem światem. Dlaczego nie mogę być jego częścią? Czemu nie mogę chodzić ulicami i z ich perspektywy przyglądać się wojnie? Czuję niesprawiedliwość. Wolność była na wyciągnięcie ręki, a jednak tak daleko. Ten gwar przywołał miłe wspomnienia związane z domem. W tle słychać było jakąś melodię. Byłam jak zaczarowana.

⁷ Anna Zahorska ps. „Savitri” (ur. w 1882 r.) – polska poetka, powieściopisarka i dramatopisarka. Zmarła w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz. Wszystkie jej utwory objęte były w 1951 r. zapisem cenzury w Polsce, podlegały natychmiastowemu wycofaniu z bibliotek.

Przestałam rozmyślać nad tym, co mnie za chwilę czeka. Nagle z zamyslenia wyrwało mnie szorstkie: *Aussteigen!*⁸

I tak znalazłam się w siedzibie Gestapo, przy alei Jana Chrystiana Szucha 25. Chwilę później byłam w „tramwaju”, czyli zbiorowej celi. Był to długły korytarz, gdzie więźniowie, siedząc w rzędach, czekali na swoją kolejkę do zeznań. Wzdłuż korytarza stały długie drewniane ławki. Rzeczywiście korytarz przypominał tramwaj. Z jednym wyjątkiem. Prawdziwym tramwajem jeździłam na zakupy, w odwiedziny do ciotki, czasami na lody z mamą. Nikt nie wie, jak bałam się „tramwaju” na Szucha.

– Irena Jankowska – rozległo się echem po korytarzu. Osądzili mnie. Nie pytali, tylko stwierdzali, co robiłam, kiedy, z kim. Zaprzeczałam, więc zaczęli mnie bić. Do tortur stosowali pałki, pejce, kije... Nie pomogło nawet stanie w lekkim rozkroku, choć słyszałam od koleżanek z celi, że to ulży w bólu. W pewnym momencie ból spowodował, że straciłam przytomność. Pierwszy transport osób z naszej celi odbył się w sierpniu. Wtedy do Oświęcimia wywieziono moją przyjaciółkę i opiekunkę, panią Annę. To była strata tak bolesna jak rozstanie z rodziną. Wkrótce wywieziono też moją tatę. Bałam się, że więcej go nie zobaczę.

Pamiętam, że kiedy pani Anna opuszczała celę, podała mi blaszaną puszkę i kazała otworzyć dopiero, kiedy wyjdzie. Zabroniła też dzielenia się z kimś zawartością.

– Musisz to przeżyć – powtarzała, wychodząc. W puszcze były witaminy i może to one dodały mi wtedy fizycznych sił do przeżycia. Dziś w końcu tu jestem.

Czas bez pani Zahorskiej dłużyl się okropnie. Znów ogarnęło mnie przycięnienie. Czasami zastanawiam się tylko, co by było, gdyby nie mnie uparzyła sobie moja Anna. Gdyby to inna osoba zwróciła jej uwagę, wzbudziła podobne emocje. Czy mogłabym to wszystko opowiedzieć?

Wiadomość bez odbioru

Czternastego października 1942 roku również mnie zabrano do transportu. Było nas łącznie około pięćdziesięciu dziewcząt. Wszystkie wyprawdano przed budynek. Stałyśmy tak samo przejęte, jak i zrezygnowane. Słyszałyśmy o obozach koncentracyjnych, w których czeka nas ciężka praca. Ale kto wie, czego naprawdę się spodziewać? Nigdy dotąd tak mocno nie targamy

⁸ *Aussteigen* (niem.) – wysiadać, wynocha.

mną nerwy i strach. Nie wiedziałam, dokąd jedziemy i czy jeszcze zobaczę rodzinę. Gdzieś w sercu tliła się nadzieja, że uda nam się to przetrwać. Choć tak szybko, jak się pojawiała, nikła.

W wagonie panował tłok i zaduch.

– Czy my gdzieś dojedziemy, czy nas uduszą w tym wagonie? – krzyknął ktoś z głębi tłumu.

Stałam na brzegu wagonu przy niewielkim okienku. Przez nie wyrzuciłam wcześniej przygotowaną na wszelki wypadek karteczkę z wiadomością do mamy. Napisałam, że żyję i zrobię wszystko, aby wrócić do domu. Taki miałam zamiar.

Gdy dotarliśmy na miejsce, esesmani wypędzili nas z wagonów. Od razu dostrzegłam wielkie budynki z cegły i poczułam nieprzyjemny zapach. Co tak cuchnie? Niemieccy żołnierze wrzeszczeli na nas, popychali nas, szturchali i bili kolbami karabinów lub pałkami. Towarzyszył temu jazgot wywołany przez rozwścieżone, wielkie psiska prowadzone przez esesmanów, którym wielką radość sprawiało szczenie nimi więźniów. Złowrogie twarze, zaciśnięte szczęki i tępy wzrok morderców spowodowały, że oblałam zimny pot. Wtedy już wiedziałam, że nie jest to zwykły obóz pracy. Na blok 3a – ogólny, gdzie trafiłam, prowadził nas cały „orszak” oświęcimskiej załogi w towarzystwie tych okropnych psów.

Zaraz po przyjeździe skierowano nas do sauny i przebrano w cuchnące pasiaki. Dostałam ciężkie drewniane trepy, w których trudno było się poruszać. Były za duże i grzęzły w błocie. Co bym teraz oddała za swoje wygodne trzewiki! Słowackie Żydówki ogoliły nam głowy i wtedy zauważyłam, że więźniarkom, które pełnią funkcję pielęgniarek, nie ogolono włosów, a ubrania dostały czyste. Spojrzałam na swoje brudne łachmany. Pomyślałam wówczas, że jeśli kiedyś będę miała córkę, to zostanie lekarzem.

Później nadano nam numery i zrobiono zdjęcia w trzech, znanych dziś dobrze ujęciach.

Drobnostrój

Kiedy ubierałyśmy się w obozowe łachmany, zobaczyłam przez okno dziedzinę, która przebywała ze mną i panią Anną Zahorską w jednej celi na Pawiaku. Wybiegłam więc szybko z nadzieją, że przy jej pomocy znajdę przyjaciółkę. I rzeczywiście, udało się.

– Idź szybko, wymknij się, może jeszcze zdążysz! – powiedziała dziewczyna. Pobiegłyśmy na blok 3. Był to murowany budynek. A przed nim na

rozłatkach słomy leżała wychudzona postać. Kobieta. Moja Anna Zahorska, opiekunka, pisarka, przyjaciółka. Leżała umierająca i patrzyła przed siebie.

– Pani Anno! Pani Anno! – krzyczałam przez łyż. Spojrzała na mnie, jej oczy się zmieniły i wyszeptala:

– Drobnostrój!...

Potem zamknęła powieki. Straciłam ją po raz drugi, ostatni.

Buty jak nowe życie

Początek mojego pobytu w obozie wspominam dramatycznie. Głód, wszy, ciężka praca. Kiedy rozprawialiśmy na Pawiaku o Auschwitz, nie miałyśmy pojęcia, że to nie tylko fizyczne wyczerpanie, ale też stopy trupów, krematoria i unoszący się z nich smród. Do pracy chodziłam poza obóz, na *Aussen?*⁹ Praca w polu była zbyt ciężka dla kobiet. Kopałyśmy lub zakopywałyśmy rowy. Czasami odnosiłam wrażenie, że ta praca była tylko po to, aby nas wykończyć. Głód i brak sił doskwierały mocniej z każdym dniem. Ciężkie trepy spadały z nóg i zostawały w błocie.

Pewnego razu podczas roboty wbiłam w dłoń drzazgę, od której zrobiła mi się czerwona pręga na ręce. Wtedy po raz pierwszy znalazłam się na rewirze jako pacjentka. Miałam zapalenie od bakterii, które dostały się do krwiobiegu. Pielęgniarka posmarowała mi rękę maścią ichtiolową, a esesman kazał wrócić do pracy. Plakałam.

– Jeśli nie masz siły, żeby pracować, udawaj, że coś robisz. Cokolwiek – powiedział przypadkowo napotkany Polak, więzień. Pracował przy rozbudowie części obozu.

– Masz tu ojca, brata? Jak masz na nazwisko? – pytał. Miałam nadzieję, że ich odnajdzie i powie, że żyję, że mi przyniesie dobre wieści o nich. Obiecałam sobie, że ich jeszcze zobaczę i po tym wszystkim usiądziemy znów wspólnie przy stole.

Kolejnego dnia spotkałam mężczyznę w tym samym miejscu. Za głazem stojącym na uboczu zostawił coś dla mnie. List od ojca! Żyje, to najważniejsze. Oprócz listu znalazłam przy kamieniu wojskowe buty. Boże, jaką radość mi sprawił! To było jak nowe życie.

⁹ *Aussenkommando* (niem.) – brygada zewnętrzna, w ramach której więźniowie wychodzili poza obóz do pracy np. przy rozbiorce budynków, lub na roli.

To się dzieje naprawdę

Od momentu, gdy lekarz Rohde wywołał mnie do eksperymentu, minęło kilkanaście dni. Nie wiem, ile dokładnie. Kto by liczył dni w takim miejscu? Wspomnienia z domu i pobytu w obozie powracały w snach. Wtedy podświadomie wierzyłam, że gdy się obudzę, to wszystko okaże się sennym koszmarem i niczym więcej. Każdego ranka jednak czekała na mnie prawdziwa rzeczywistość.

Dwunastego stycznia 1943 roku ciągle żyłam. Po przebytych tyfusie byłam bardzo słaba i leżałam na bloku 23 na najwyższym piętrze koi.

- 22524! - usłyszałam kobiecy głos. To był mój numer. Poderwałam się i krzyknęłam:

- Tutaj jestem! Tutaj!

Podeszła do mnie młoda, ładna dziewczyna o niebieskich, wielkich oczach i kręconych blond włosach. Wręczyła mi paczkę. Sytuacja powtarzała się kilka razy. Te pacunki uratowały mi życie. Były w nich leki. Dzisiaj wiem, że podał mi je potajemnie więzień, który był w obozie lekarzem. O tę przysługę poprosił go mój tata.

Chociaż nie było przy mnie rodziny i przeżywałam te koszarne chwile samotnie, ciągle czułam obecność bliskich. W każdej możliwej sytuacji czy zagrożeniu stawiali moje życie nad swoje. Kto wie, ile tata z lekarzem musieli zaryzykować, aby podać mi leki, a wcześniej list i buty? O tym wiedzą tylko oni. A ja, jako jedna z więźniarek, mogę się tylko domyslać.

Misja

Tyfus wszczępiony podczas eksperymentu nie pokonał mnie. Nie zastanawiałam się nawet, kiedy wiosną 1943 roku zaproponowano mi nocne dyżury na rewirze. Niedługo później dziewczyna z Krakowa, Helena, z którą się zaprzyjaźniłam, załatwiła mi posadę archiwistki w zastępstwie kobiety, która zmarła. Śmierć przestała dziwić. Jeszcze kilka miesięcy temu na myśl o niej czułabym panikę. Teraz śmierć jednej osoby stawała się szansą dla innej. Ja też skorzystałam z tej okazji.

Praca archiwistki była zdecydowanie lepszym zajęciem niż wszystko, co do tej pory robiłam w obozie. Dzięki temu, że znałam niemiecki i potrafiłam pisać na maszynie, radziłam sobie dobrze i sądzę, że to pozwoliło mi przeżyć Oświęcim.



Kobiety z transportu w 1944 roku na pierwszym apelu w Birkenau. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-157-178, 24457-158-177

Przez dwa lata byłam szrajberką¹⁰, która przyjmowała chorych, wypisywała karty chorób, mierzyła temperaturę. Miałam dach nad głową, większe porcje jedzenia i czyste ubrania. Choć zajęcie nie było zbyt uciążliwe fizycznie, było przyjemujące. Co dzień oglądałam łyse, nagie i wygłodzone kobiety. Ich ciała niemal całe pokryte były wrzodami i ranami. Oczy przepelnione bólem.

Tam poznałam „człowieka, który niósł śmierć”, słynnego doktora Josefa Mengele. Kiedy robił obchód na rewirze, wystarczała sama jego obecność, by pielęgniarki i więźniowie drżeli ze strachu. Był nieobliczalny. Nie można było przewidzieć, co zrobi, jakie decyzje podejmie, kogo zechce uśmiercić. Milczał. Nie sposób było odgadnąć, o czym myśli, co nim kieruje.

Gdy przychodził, w brudzie i smrodzie obozowego szpitala nagle znajdowały się białe prześcieradła i koce. Za każdym razem były odwszone! Więzy nie trwały długo. Mengele dwa razy obchodził łóżka. Na kartach wybranych pacjentów stawiał krzyżyki. Jeszcze tego samego dnia wskazane osoby otrzymywały zastrzyk z fenolu w serce i zostawały wywiezione do pieca kremacyjnego.

Praca w rewirze stała się dla mnie misją. Chciałam i jeśli tylko mogłam, ratowałam ludzi. Robiłam wszystko, co mogłam, żeby pomóc chorym kobietom przeżyć. Dawałam dodatkową porcję leków, o ile taka była, większy kawałek chleba, gdy te chore na tyfus z powodu braku apetytu nie zjadły swojej porcji. Największym ryzykiem było ingerowanie w karty chorych. Razem z Bogusławą Czuprynowną, która pracowała ze mną, czasami zamieniałyśmy karty chorych. Zdarzało się, że „krzyżyk” od lekarza decydującego o tym, kto ma trafić do gazu, otrzymała osoba, która miała szansę na przeżycie, podczas gdy umierająca została. Podmienialiśmy więc karty. Ratowałyśmy te, które miały więcej szans na ocalenie. Pomagali nam więźniowie, którzy przemycali leki. Brał w tym udział także mój ojciec, który na tyle, na ile mógł, wspierał nas z obozu męskiego.

Oprócz doktora Mengele, w którego ręce trafiłam w imię pseudonimowych eksperymentów, osobą, która przerażała mnie najbardziej, była Niemka nazywana „Czarną Miją”.

Na rewirze od czasu do czasu pojawiały się kobiety w ciąży. Zawsze starałyśmy się ratować matkę i dziecko, ale niestety bardzo rzadko się to udawało. Mija miała w zwyczaju brać na ręce żywe noworodki i wrzucać je do rozpalonego pieca. Po moim wyjściu z Auschwitz często wracała do mnie

¹⁰ Szrajber, z niem. *Schreiber* – pisarz blokowy. W szpitalu obozowym do obowiązków szrajbera lub szrajberki należało m.in. uzupełnianie kart pacjentów.

w smach, wrywała mi z ramion córeczkę i robiła z nią to samo, co zrobiła z tyłoma niewinnymi dziećmi.

Na szczęście miałam też okazję pracować z panią Stanisławą Leszczyńską. Gdy tylko urodziło się jakieś dziecko, starała się natychmiast je przechwycić i ukryć przed Czarną Miją.

Pewnego dnia ktoś mi powiedział, że grypsy taty, które docierają do mnie, od pewnego czasu wysyła brat. Ojciec już nie żył. Pamiętam, że kiedy dowiedziałam się o tym, ogarnęła mnie pustka. Obiecałam sobie przecież, że wszystkie się jeszcze spotkamy. Myślałam, że oszaleję. Śmierć była w Auschwitzu wesele. Ale nie da się z nią oswoić, gdy chodzi o stratę kogoś bliskiego.

Blok Śmierci

Obozowy rewir był podzielony na bloki. W zależności od rodzaju dolegliwości więźniarki były wysyłane na odpowiedni blok. Ten o numerze 22 przeznaczony był dla Niemek. Blok 23, gdzie przez dwa lata pracowałam, był ogólną izbą przyjęć. Przyjmowane tam były kobiety chore na grypę i tyfus, gorączkujące, z uszkodzonymi kości. Stąd najłatwiej było się wy dostać i powrócić do pracy. Na bloku numer 24 lokowano chore na *durchfall*. Najgorszym barakiem w obozie był Blok Śmierci – o numerze 25.

Kobieta, która na „dwudziestce trójce” dostała od doktora Mengele krzyżyk, była przenoszona właśnie na „dwudziestkę piątkę”. W tym bloku chorymi zajmowały się najczęściej Żydówki, a gdy ktoś tam trafił, niewielkie były jego szanse na wy dostanie się z Auschwitz-Birkenau w inny sposób niż przez komorę gazową.

Kiedy pod koniec mojego pobytu w obozie przeniesiono nas do obozu macierzystego Auschwitz I (mężczyźni zostali z niego wcześniej przetransportowani do innych obozów), nakazywano nam, abyśmy podczas apeli partowały na więźniarki wieszane dla przykładu. Słyszałam, że dwadzieścia jeden dni przed wyzwoleniem obozu powieszono cztery Żydówki, które dostarczyły *Sonderkommando*¹¹ materiały wybuchowe. Za ich pomocą więźniowie w znacznej części zburzyli krematorium IV i podjęli próbę ucieczki z obozu. Niestety nie była ona skuteczna.

¹¹ *Sonderkommando* (niem.) – specjalne grupy robocze więźniów pracujące w komorach gazowych przy wynoszeniu zwłok, w krematorium przy wyrywaniu złotych zębów i paleniu zwłok. W obozie żyli odseparowani od innych więźniów. Jako świadkowie działania śmiercionośnej maszyny byli co jakiś czas zabijani i zastępowani nowymi więźniami.

To książki i poezja pomogły mi przetrwać psychicznie pobyt w obozie. Mogę śmiało stwierdzić, że Opatrzność zsyłała mi osoby, którym – tak jak mnie – nie było obojętne słowo pisane. Najpierw pani Zahorska, która okazała się dla mnie kimś znacznie więcej niż tylko znajomą pisarką. Później, na rewirze, poznałam niezwykłą kobietę, która tworzyła poezję obozową. Pisała ołówkiem na papierze. Może zdziwi kogoś fakt, że miała do dyspozycji papier i ołówek. Tego akurat w obozie nie brakowało. Chłopcy donoszący nam grypsy z paczkami mogli przynieść i załatwić – co oznaczało ukrać – wszystko.

Poznaną przeze mnie poetką była Krystyna Żywulska¹². Jeśli w takim miejscu jak Auschwitz można mówić o szczęściu, to właśnie ono lub jakaś jego postać spotkały mnie przez tę znajomość.

Gdy pani Krystyna Żywulska trafiła do obozowego szpitala, stwierdzono u niej tyfus. W karcie choroby wpisałam jednak gorączkę. Gdyby lekarz obozowy spostrzegł w karcie pacjenta chorobę zakaźną, mógłby, co czasami się zdarzało, przenieść kobietę na Blok Śmierci. Życie pani Krystyny było zagrożone nie tylko przez chorobę i obozową codzienność pełną niebezpieczeństw. Wiersze, które pisała, ukazywały prawdę o obozie, dlatego jej poezja przeskadzała Niemcom. Wystarczy przytoczyć tytuły utworów: *Marsz przez bramę* czy *Apel poranny*.

Zamieniliśmy więc karty chorych, kartę pani Krystyny przypisałyśmy kobiecie, która była umierająca. W ten sposób ocaliliśmy Żywulskiej życie.

Gestapowcy mieli oko na poetkę lagrową. Zastanawiam się, jak jej wiersze wpadły w ręce Niemców, i wydaje mi się, że powodem była zwykła nieostrożność. Nie sądzę, aby ktoś doniósł. Ta poezja nas, więźniów, łączyła.

Aby w obozie nie oszaleć, próbowaliśmy różnych sposobów na zajęcie myśli. Śpiewaliśmy piosenki. Czytałyśmy wiersze Krystyny Żywulskiej. Były smutne, ale pomagały pogodzić się z losem, jaki nas spotkał. Oto jeden, bardzo poruszający:

¹² Krystyna Żywulska (właśc. Zofia Landau) – ur. 1914 r., zm. 1993 r., polska pisarka, felietonistka, autorka tekstów piosenek i graficzka żydowskiego pochodzenia. Jej najważniejsze dzieła to m.in.: pamiętnik *Przeżyłam Oświęcim*, powieść *Pusta woda* oraz *Wiersze Oświęcimskie*. Pisała także teksty piosenek, m.in. *Taka jestem zakochana* i *Tańcz ze mną, tańcz*.

List niewysłany

*Pliszę do Ciebie, Mamo,
Co miesiąc list oficjalny.
Zawsze prawie to samo,
Tekst dobrze znany, banalny.*

*Że żyję, że jestem zdrowa
I że za paczki dziękuję –
Co myślisz, czytając te słowa?
Jak je rozumiesz, co czujesz?*

*Czy wiesz, jak wielka to błaga?
Ty jeden to wiesz, o Boże,
Jak prawda wygląda naga,
Opowiem Ci kiedyś może...*

*Skończyły się uniesienia,
Romantyzm diabli wzięli,
Czy wiesz, jakie mam marzenia?
O czystej marzę pościeli.*

*I tak by się bardzo chciało
Mieć zawsze gorącą wodę...
Mamo, czy wiesz – moje ciało
Jest jednym wielkim wrzodem.*

*Tu wszy i pchły mnie jedzą
I tylko wyję z rozpaczny,
A tam, na wolności, czy wiedzq,
Co słowo „Durchfall” znaczy?*

*I można zielonym iść lasem
I śpiewać, jak przyjdzie ochota.
Mamo, Ty nie wiesz, jak czasem
Nagle ogarnia tęsknota.*

*Miotam się jak szalona
W męce i bezsilności,
W próżnię wyciągam ramiona
Do życia... ach do wolności...*

*W szpitalu obozowym pani
Irena spotkała poetkę Krystynę
Żywulską, której ocaliła życie.
Fot. Wikimedia Commons*



.....
A na stajennej przyczy,
Bliski człowiek umiera,
Oczy ma błędne i krzyczy,
A śmierć ofiary wybiera...

Krzyczy, że żyć chce jeszcze,
że m u i do dzieci, do domu;
Gorączka Ją trawi i dreszcze,
Śmierć zbliża się po kryjomu...

Na próżno czekacie dzieci
W żalu ogromnym, w tęsknocie,
To dobrze, że Wy nie wiecie,
Jak trup Jej leżał w błocie.

Pod blokiem z innymi trupami
O... nie leżała tam sama
Całymi godzinami
Kochana Wasza mama...

.....
Tuż obok... niedaleko
Umiera jeszcze jedna;
Łza błędzi pod powieką
I nic już sił nie ma biedna.

Lat ma dwadzieścia, dziewczyna
I gdzieś tam za drutami
Ktoś za nią tęskni, wspomina,
Gorzkimi płacze łzami.

To mama Jej się smuci,
Czeka od wielu miesięcy.
Ona już nigdy nie wróci
Jak innych... tyle tysięcy.

.....

Przed sobą wciąż tylko widzę
Dziesiątki ciał krościastych;
M a m o, ja się tak brzydzę,
Tu każdy trędowny.

W długie bezsenne noce
Rozmawiam z Tobą, Mamo.
Blask lampy w górze migoce
I śni mi się ciągle to samo:

Ze się pochylasz nade mną,
Jak niegdyś nad kotyską,
Rękę masz taką przyjemną,
Tak długo jesteś blisko.

Pragnę zatrzymać Cię siłą
O mamo moja kochana!
Lecz wiem – tak się tylko marzyło
Za mną znów noc nieprzespana.

Grudzień 1943¹³

Odważna

Na rewirze pracowałam dwa lata. W latach 1943 i 1944. Chociaż praca z chorymi była przygnębiająca, poczuwałam się do odpowiedzialności za życie tych, którzy żyć mogli, a ja mogłam im pomóc. Kiedy pracowałam tutaj, było mi też łatwiej walczyć o siebie. Nie wyglądałam źle. Dużo pomagał mi brat, a dodatkowe porcje jedzenia, które otrzymywałam od niego, często oddawałam chorym. Mieszkałam w drewnianym baraku, gdzie panowały lepsze warunki życia niż w murowanych budynkach. Pewnego razu jakiś lekarz, niezadowolony, że pracują tu tak młode dziewczyny, krzyknął „Raus!” i nas wypędził. Wtedy nagle poczułam w sobie wielką odwagę i podeszłam do nowego komendanta obozowego Auschwitz-Birkenau.

– Komendancie, pracowałyśmy z koleżankami w rewirze i dziś zostaliśmy wyrzucone. Ponoć jesteście za młode. Proszę nas nie przenosić do innego obozu – powiedziałam.

– Tak wam tu dobrze? – zapytał i spisał numery obozowe moje i koleżanek.

Bałyśmy się, że zostaniemy przeniesione gdzie indziej i znów będziemy jako *Zugang*¹⁴ źle traktowane. Tu było okropnie, ale kto wie, czy w innym

¹³K. Żywulska, *List niewysłany* (12.1943) [w:] *Na mojej ziemi był Oświęcim*, dz. cyt., s. 325–327.

¹⁴*Zugang* (niem.), w gwarze obozowej też „cugang” – nowo przybyli do obozu więźniowie.

miejscu nie byłoby jeszcze gorzej? W Brzezince przynajmniej znaliśmy zasady. Wiedzieliśmy, na co możemy sobie pozwolić.

Weszłam zadowolona do baraku i pochwaliałam się koleżankom, co zrobiłam. Sądziłam, że dzięki temu nigdzie nas nie wywożą. Dziewczyny jednak zaczęły płakać i krzyczeć. Były przekonane, że po moim wyczynie na pewno spotka nas kara lub transport w nieznane. Ogarnęła mnie panika. Może miały rację? Po co ja to zrobiłam?!

Dziewczyny obawiały się też, że za moją zuchwałość możemy zostać przeniesione do Puffu¹⁵ – obozowego domu publicznego. Niektóre kobiety szły tam z wielką chęcią, my jednak się bałyśmy. Byłyśmy ładne i zdrowe. Kto mógł wiedzieć, co komendantowi przyjdzie do głowy?

Miałyśmy znajomą w dziale politycznym. Była Słowaczką i miała na imię Wala. Bez zastanowienia, jak tylko nadarzyła się okazja, poszłyśmy do niej.

– Wala, ratuj! Głupotę zrobiłam, podałam komendantowi nasze numery! – opowiedziałam dokładnie, co się stało. – Jeśli przyjdzie jakies polecenie, to na pewno przez wydział polityczny. Pomóż nam – prosilam.

– No tak, rzeczywiście narobiłaś problemu – przytaknęła Wala. Na szczęście wypatrzyła, że zwolniły się miejsca w tak zwanej Kanadzie¹⁶. Praca tam polegała na zakładaniu kart i rejestrowaniu ubrań nowo przybyłych więźniów. Wsadzałyśmy ciuchy do worków i oznaczaliśmy je numerami nadanymi więźniom. Była to dobra praca, bo w pomieszczeniu i nie narażała na śmierć tak bardzo, jak zajęcia poza obozem. Kiedy ją rozpoczęłam, często wspominałam swój przyjazd do Oświęcimia.

Od Żydówek pracujących w łagrze obok oddzielone byłyśmy tylko drutem kolczastym. One przyjmowały nowe transporty ludzi i odbierały od nich ubrania, pakunki, torby z osobistymi rzeczami i kierowały przybyłych do kąpeli. Wiadomo, co to była za „kąpiel”.

Bardzo często warunki przewożenia Żydów były tak potworne, że wiele transportów dojeżdżało z martwymi ludźmi. Esemmani otwierali wagony, a ciała nieboszczyków wypadały na rampę. Później hitlerowcy dobudowali część rampy bliżej krematorium, aby przewozić ciała krótszą trasą. Widziałam niekiedy, jak wychodziły z wagonów całe rodziny. Mężczyzn oddzielano od

¹⁵ W nazistowskich obozach koncentracyjnych funkcjonowały domy publiczne, zakładane przez Niemców w ramach systemu motywacyjnego dla więźniów. W obozie Auschwitz I dom publiczny założono w sierpniu 1943 r. Mieścił się w bloku 24.

¹⁶ Kanada – magazyn do składowania zagrabionego mienia Żydów, ofiar zagłady. Praca w Kanadzie była w obozie uważana za jedną z najlepszych, obok pracy w kuchni i magazynach żywnościowych. Stąd zapewne powstała nazwa – Kanada kojarzyła się wówczas z krajem dobrobytu, w którym żyje się w sytości i dostatku.

kobiet z dziećmi. Do komór gazowych pod pretekstem kąpeli prowadzono nieprzydatne do pracy matki z maluchami. A tam już tylko cyklon B i piec...

Odebrane więźniom przedmioty wysyłano do Niemiec. Zdarzało się, że Żydówki przetrzucały nam ładne ubrania przez druty.

Pracując w Kanadzie, nie mieszkaliśmy z pozostałymi więźniarkami w murowanych i zaniedbanych barakach, przypominających jaskinie, tylko w drewnianych, położonych blisko miejsca pracy. Tu koje były czystsze, trypiętrowe... W Kanadzie pracowałam już do samego końca. Do Marszu Śmierci, w którym brałam udział.

Osiemnastego stycznia 1945 roku, w dniu ewakuacji obozu w Auschwitz, razem z innymi więźniami wyruszyłam do Wadowic. Szliśmy przez wiele dni polnymi drogami, lasami i przez łąki. Nie mieliśmy nic do jedzenia, a ludzie w wioskach, które mijaliśmy, nie zawsze byli na tyle życzliwi, aby dać nam coś zjeść. Szliśmy grupami, nigdy osobno. Marsz był równie niebezpieczny, co sam pobyt w Auschwitz. Niemieckim żołnierzom zależało na dyktando nauce naocznych świadków zagłady, jaką urządzili w obozie.

Z Wadowic zabrali nas transportem do łagru kobiecego w Ravensbrück. Tam prowadzono eksperymenty i doświadczenia na młodych dziewczynach. Wychano im kawałki ciała z nóg i wykorzystywano je do operowania niemieckich żołnierzy. Wiele kobiet było poranionych, niektóre zostały kalekami, inne z powodu zakażeń zmarły.

Z początkiem kwietnia 1945 roku trafiłam do obozu Neustadt-Glewe w północnych Niemczech, a 2 maja 1945 roku wkroczyły tam amerykańskie wojska. Żołnierze otworzyli szeroko bramy, oznajmiając nam, że jesteśmy wolni. Nie pamiętałam już, co oznacza to słowo. Myślałam tylko: do domu, do domu chcę. A do domu tak daleko! Byłam przecież w Niemczech. Mimo to przekonywałam samą siebie, że wrócę do mamy, tak jak napisałam na kartce wyrzuconej przez okno pędzącego pociągu, która do niej nigdy nie dotarła. Chociaż ból po stracie ojca powracał każdego dnia, żyłam nadzieją, że spotkam resztę rodziny.

Ten koń jest mój!

Grupami opuszczaliśmy Neustadt-Glewe. Wraz ze mną szły zaprzyjaźnione koleżanki z obozu. Obóz był położony kilka kilometrów od miasta. Byłam zdecydowana, chciałam wracać do domu. Byłam wolna! To mnie nagle uskrzydliło. Wracam do rodziny. Będę czytać, znów podejmę naukę. Pogo-

dzę się z przeszłością.

Zobaczyłam jakieś gospodarstwo. A tam furankę, do której Niemiec zaprzęgał konie. Z przodu i z tyłu wozu siedzenia były obite miękkim materiałem. Nigdy wcześniej nie miałam styczności z takim pojazdem! Ale czy to ważne? Byłam ubrana w normalne ciuchy dzięki Żydówkom, które zza drutów w obozie przetrzucały nam rzeczy pozostawione z transportów. Z wyglądu nie przypominałam już więźniarki, którą byłam. Odważnie podeszłam do mężczyzny.

– Bierzemy ten wóz i konie, bo są nam potrzebne – powiedziałam stanowczo. Koleżanki stały wystraszone za mną. Niemiec zupełnie nie przejął się tym, co mówiłam. Stwierdził tylko, że jestem bezczelna. Złapałam go za ramiona i zaczęłam mocno nim potrząsać. Krzyczałam, że ma natychmiast odejść od koni. Skąd znalazłam w sobie tyle siły i pewności siebie? Nie wiem. Tak czy inaczej, koleżanki włączyły się do szarpaniny i zaczęły krzyzczeć, że zabieramy wóz i konie.

– Już cię nie ma! Konie są nasze, wynocha!

Ciągle nie wierzę, że to zrobiłam. Niemiec się wystraszył i odszedł. Ja, niedoświadczona dotąd w powożeniu, wsiadłam na wóz, złapałam za lejce i ruszyłam z impetem. W stronę domu. W ten sposób dostałyśmy się do



Irena Wiśniewska
w sanatorium w Kudowie-
Zdroju, 1957 rok
(na obu zdjęciach).
Fot. Archiwum rodzinne



Szczecina. Ze Szczecina pociągiem ruszyliśmy do Warszawy. Pociąg jechał bardzo długo, zatrzymywał się nocą i stał po kilkadziesiąt minut, czasami dłużej. Nie miałyśmy ze sobą jedzenia ani pieniędzy. W czasie postojów biegaliśmy do opustoszałych domów, z których całkiem niedawno pouciekali Niemcy. Wymykając się w pośpiechu, nie wzięłyśmy ze sobą wielu rzeczy. Dokładnie tak jak my, kiedy zabierali nas do obozu. W ich szafkach znajdowałyśmy jedzenie. Nie byliśmy więc głodne. Na kolejnych stacjach koleżanki, z którymi opuściłam obóz, wysiadały i wracały do domów. Dojechałam do samej Warszawy i udałam się do Małkini koło Ostrowi Mazowieckiej, gdzie miałam przyjaciółkę z dziecięcych lat. Stamtąd zawiadomiłam mamę, która od razu przyjechała po mnie konno. Następnego dnia wrócił mój brat Henryk.

Życie jeszcze raz

Przez długi czas po powrocie z obozu nie miałam menstruacji. Myślałam, że nie będę mogła mieć dzieci. Musiałam przyzwyczaić się do życia na nowo. Kiedy ktoś się śmiał, nie wiedziałam, jak się zachować. Nie umiałam tego robić.

W 1945 roku zainteresowały się mną władze. Byłam inwigilowana, odrzuciłam propozycję pracy, jaką mi złożono – w Urzędzie Bezpieczeństwa – i wszelkiej współpracy. Pewnego dnia ktoś mnie ostrzegł:

– Uciekaj, bo przyszedł na ciebie czas.

Władze rozpoczęły łapanekę byłych członków AK. Zdażyłam uciec do Wrocławia, gdzie mieszkał mój brat. Ciężko było mi wyjeżdżać, dlatego nie zrobiłam tego wcześniej. Tata nie żył, chciałam pomóc mamie. Byłam dorosła, zamierzałam pracować.

W 1947 roku wyszłam za mąż. Mój mąż też był w AK. Do Wrocławia, na tak zwane Ziemie Odzyskane, uciekł z Wołynia, aby zatrzeć po sobie ślad – jak wielu akowców.

Rok po ślubie urodziłam córkę. Była wcześniakiem, a ja nie miałam pokarmu, pewnie przez doświadczenia z obozu. Siódmego maja 1952 roku na świat przyszedł mój syn.

We Wrocławiu pracowałam w Polskich Zakładach Zbożowych. Zdałam maturę, ale na studia nie dostałam się z powodów politycznych. Do Warszawy wróciłam w 2000 roku z powodu choroby serca mojego męża. Sam profesor Religa operował go w stolicy.

Spełniło się moje dawne marzenie. Córką Liliana została lekarzem. Bardzo dobrym. Profesorem. Syn po zakończonej edukacji rozpoczął pracę jako



Irena Wiśniewska w mundurze podporucznika kombatancka. Fot. Archiwum rodzinne

klenerowca. Czas nie zaleczył ran z przeszłości, ale nauczyłam się z nią żyć w zgodzie. Czy mogłam zrobić coś innego?

Miałam też czas na rozważanie poezji i czytanie książek, które tak kocham.

Wierzę, że śmierć tak wielu ludzi w Auschwitz nie poszła na marne. A ta garstka uratowanych na rewirze, ukrytych przed esesmanami, warta była największego nawet ryzyka. Ich losy to nowe historie tętniące życiem. Wierzę, że jestem tu dziś dzięki radom, jakie dawała mi pani Zahorska, i sile płynącej z miłości do rodziny.

HF obozowy: 84457

URSZULA KOPERSKA z domu Kublik

Urodzona: 14 maja 1936 roku w Warszawie

Data wywózki do Auschwitz-Birkenau: 12 sierpnia 1944 roku

Obozy koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau, Sachsenhausen



Ula ma 7 lat, Warszawa 1943 rok. Fot. Archiwum rodzinne

Dziś pewnie może się to komuś wydać niedorzeczne, jednak wtedy był to nasz cały dobytek (chleb). Straciliśmy go. Na tamten moment to była największa strata w życiu.

URSZULA KOPERSKA

Mała dziewczynka z Auschwitz

Do obozu trafiła jako ośmioletnie dziecko. Odseparowana od rodziców i brata, nie zdawała sobie sprawy z tego, w jakim piekle się znalazła. Opowiada o głodzie, strasznej tęsknocie i strachu. Jej wspomnienia to też historia każdego samotnego dziecka w obozie. W baraku, w którym się znajdowała, więzień artysta rysował dzieciom na ścianie obrazki, które przetrwały do dziś.

Tematem KL Auschwitz-Birkenau interesuje się wielu ludzi. Miło pa-
trzeć, kiedy młode osoby przychodzą na spotkania z nami, byłymi więźnia-
mi tego obozu. Na jednym ze spotkań w muzeum oświęcimskim zapytałam
młodą dziewczynę, z jakiego powodu tu przyjechała. W takie miejsce, pełne
śmierci i tragicznych wspomnień. Ujęła mnie swoją szczerością, kiedy po-
wiedziała, że nie umie sobie wyobrazić ogromu tego okrucieństwa, jakie
ludzie wyrządzili ludziom.

– Tego sobie wyobrazić nie można. Nie staraj się więc tego robić – od-
powiedziałam.

Wierzę w przeznaczenie. Żyję, bo widocznie tak miało być. Trzykrotnie
stałam pod murem, czekając na rozstrzelanie. We mnie i moich bliskich
wycelowana była niemiecka broń. A jednak przeżyłam.

Jeszcze teraz to widzę

Kiedy miałam trzy lata, rozpoczęła się okupacja. Z bratem Jackiem i rodzi-
cami mieszkaliśmy wtedy na Olesińskiej 4. Dla tak małego dziecka pewne



Stanisława i Aleksander Kublik, zdjęcie ślubne rodziców pani Urszuli, 1932 rok.
Fot. Archiwum rodzinne

sprawy nie są zrozumiałe. Patrzyłam na otaczający mnie świat, dziwiąc się
tylko niektórym zdarzeniom. Trudno wytłumaczyć trzylatce, dlaczego w do-
mku brakuje jedzenia, skąd ten strach i nieustanny stres. Mój ojciec był człon-
kiem Armii Krajowej. Działał w konspiracji. Jego akcje zostały zauważone
i Gestapo zaczęło go szukać. Nie znam dokładnego powodu, dla którego
Niemcy chcieli go aresztować. Wiem natomiast z opowiadań mamy, że bra-
tanek taty powiedział kiedyś:

– Ciociu, gdybyś tylko wiedziała, co wujek w tej konspiracji robił!

W czasie okupacji mama nie chciała wiedzieć, czym zajmuje się ojciec.
Miała się, że jeśli i ją złapią gestapowcy, torturowana wyjawi, gdzie jest tata.
Gestapowcy często przychodzili do naszego mieszkania i dokonywali rewizji.
Zagłądali do szuflad, jakby szukali czegoś konkretnego. I oczywiście do
szafy – przecież tata mógł się tam ukryć. W domu jednak go nie znaleźli,
ponieważ skutecznie się ukrywał.

W 1943 roku poszłam do pierwszej klasy. Gdy 3 grudnia 1943 wracałam
do szkoły, na ulicy panowała cisza. To było dziwne. Nie jeździły samochody.
Echem przy rogu ulicy Puławskiej i Olesińskiej został zablokowany. Echem
unosił się tylko odgłos donośnych salw. Przybiegłam wystraszona do domu,



Ula Kublik z rodzicami
i bratem Jackiem przed
wojną, park Dreszera,
Warszawa.
Fot. Archiwum
rodzinne



gdzie mama z sąsiadkami już się modliły. Wiedziały, co się dzieje. Przy Rakowieckiej rozstrzelano Polaków. Tego dnia miały miejsce uliczne egzekucje, podczas których zginęło stu osiemdziesięciu Polaków. Niemcy zabijali dziecięci naszych za jednego swojego¹⁷.

Nawet przez nasze okna słyhać było strzały. Kobiety trwały w modlitwie. Byłam wystraszona. Dopiero kiedy uciły odgłosy tragedii, mogliśmy

¹⁷ 3 grudnia 1943 r. na podwórzu spalonego domu przy ul. Puławskiej 21/23 oraz obok zajezdni tramwajowej przy ul. Puławskiej 13 Niemcy przeprowadzili wielką egzekucję polskich zakładników. W niemieckim obwieszczeniu podano nazwiska 100 rozstrzelanych. Z informacji przekazanych przez konspiracyjną komórkę na Pawiaku wynikało jednak, że tego dnia wywieziono na śmierć 112 mężczyzn. W gronie ofiar znaleźli się m.in.: Stefan Bryła (profesor Politechniki Warszawskiej, poseł na Sejm RP), Stanisław Siezieniewski (aktor i reżyser teatrów wileńskich i łódzkich) i Henryk Trzonek (artysta muzyki, kierownik kwartetu smyczkowego Polskiego Radia). Zakładników rozstrzelano w odwecie za atak na niemieckie „budy” policyjne, przeprowadzony w tym miejscu poprzedniego dnia przez żołnierzy AK.



wyjść z domu. Ruch na ulicy został wznowiony. Poszliśmy więc na miejsce zbrodni, aby oddać hołd zamordowanym. Mama zabrała mnie ze sobą, wzięła kwiatki i ruszyliśmy w kierunku Rakowieckiej. W takich sytuacjach to ja towarzyszyłam mamie. Brat był już za duży. Miał wówczas dwanaście lat. Poza tym był chłopcem, mogli go aresztować.

Dotarliśmy na miejsce. Do końca życia będę miała te obrazy przed oczami. Była tam zajezdnia tramwajowa z wrotami z drewnianych sztachetek. To na nich wisiały strzepy rozstrzelanych przez Niemców mężczyzn. Niemieckie dzieło sadyzmu i okrucieństwa. W pamięci utkwiła mi kobieta ubrana cała na czarno. W dłoni trzymała białą chustkę, do której zbierała ze sztachet szczątki rozstrzelanych ciał. Widocznie zginął tu ktoś jej bliski.

Pierwszego sierpnia 1944 roku wybuchło Powstanie Warszawskie. Trzy dni później do naszego domu przyszli hitlerowcy i Ukraińcy. Wypędzili nas pod mur. Panował straszny zamęt, ludzie płakali i głośno się modlili. Było nas około osiemdziesięciu osób. Kobiety, mężczyźni, dzieci i starcy. Pamiętam

brutalność żołdatów, mojej ciotce zerwali siłą z palca obrączkę, innym kobietom wyrwali z uszu kolczyki, zabierali wszystko, co było wartościowe. Czekaliśmy, kiedy zaczną strzelać. Sytuacje, w których obawialiśmy się, że nas zabiją, powtórzyły się aż trzy razy. Ostatecznie wpędzili nas do piwnicy w naszej kamienicy. Dom został podpalony, a przez okienka do piwnicy wrzucono granaty. Niepokoiliśmy się, co będzie dalej. A oni krzyczeli po polsku: „Wychodź!”

Mama się bała, że dom się zawali. Wolała umrzeć od kuli, niż dusić się pod gruzami. Wtedy podjęła decyzję – była to chyba najtrudniejsza decyzja w jej życiu.

– Idziesz z nami czy zostajesz? – zapytała taty. Ojciec był żołnierzem. Nie mógł tak po prostu oddać się w ręce wroga.

– Stasia, nie mogę. Jeśli coś wam się stanie, a ja przeżyję, to wtedy wyjdę i przynajmniej zabiję jednego z nich – odpowiedział.



*Pierwsza Komunia Święta
Uli, Warszawa, 1946 rok.
Fot. Archiwum rodzinne*

Strone schody wyprowadziły nas z piwnicy. Kiedy znalazłyśmy się na zewnątrz, mama powiedziała do hitlerowca stojącego przy schodach:

– Jeśli musicie, to zabijcie najpierw dzieci, a później mnie.

On z ironicznym uśmiechem odrzekł, że zabijają tylko „bandytów”.

– Kto jest w piwnicy? – zapytał mamy.

– Mieszkańcy kamienicy.

Wtedy ponownie kazali opuścić piwnicę. Gdy ludzie wyszli, Niemcy zabrali im resztę cennych rzeczy. Zapędzili nas z podniesionymi rękami na Puławską 24, do domu Wedla, a kamienica płonąła.

Na Puławskiej przejął nas inny konwój. Pędzili nas przez ulice do Włoch lubo Warszawy. Tam załadowali do pociągu i wywieźli do Pruszkowa. Następnie wsadzili nas do byłych wagonów i wyprawili w kilkudniową podróż w nieznanym kierunku. Gdy czasami pociąg się zatrzymywał, Polacy podawali nam wodę lub coś do jedzenia. Niemcy do nich strzelali.

Ostatni obraz ojca

W końcu pociąg zatrzymał się na dobre. Był 12 sierpnia 1944 roku. Mijały godziny, a nas nie wypuszczano. Nikt się nawet nie domyślał, gdzie jesteście. Tylko przez małe okienko dostrzec można było rzędy baraków i ludzi w palciach. Nagle którychś z pasażerów krzyknął: „Oświęcim!”

W wagonie zapanowała panika. Dopiero gdy nastąpiła noc, otworzono drzwi i kazano nam wysiadać. Od razu oddzielono na jedną stronę mężczyzn i pognano ich pierwszych. Tata, mijając nas, posłał w naszą stronę słowa pożegnania. To był ostatni raz, gdy go widziałam, i tak go zapamiętałam. Kobiety z dziećmi ustawiono na rampie piątkami. Na szczęście mojego brata potraktowali jeszcze jako dziecko i został ze mną i z mamą. Ja miałam wówczas osiem lat, a brat dwanaście.

Wpędzono nas do pustego baraku. Nie dostaliśmy ani wody, ani jedzenia.

Świat wiecznie toczy wojnę

Chyba od zakończenia II wojny światowej jeszcze nie było jednego dnia, żeby gdzieś na świecie nie toczyły się wojny. Niestety, walka tkwi w ludzkiej naturze. Sam Hitler zamordował miliony ludzi, ale wszystko odbyło się w białych rękawiczkach, bo kto inny dokonywał za niego zbrodni.

To samo miało miejsce w obozach. Komendantura niemiecka rzadko bezpośrednio dopuszczała się mordu czy katowania ludzi. Po co mieli sobie brudzić ręce, skoro byli od tego kapo¹⁸ i więźniowie funkcyjni? Niemiec chodził w błyszczących butach z pejczem w ręku, z psem i dumnie uniesioną głową. Jeśli miał ochotę, to bez uprzedzenia mógł zabić któregokolwiek więźnia.

W obozie nie liczono się z ludźmi. Mam wręcz wrażenie, że im większy ból nam zadawano, tym większą radość mieli oprawcy.

Rozstania

W pustym baraku spędziłyśmy dzień, może dwa. Później wstawiono tam stoły, za którymi zasiedli więźniowie odpowiedzialni za spisywanie osobistych rzeczy, które mieliśmy oddać w depozyt. Mama miała na sobie kamizelkę z kieszonką; jeszcze w Warszawie schowała nożyczki, zwitek wełny i śliczny, dziewczęcy pierścionek, który otrzymała na osiemnaste urodziny. Kiedy później oddali jej tę kamizelkę, w kieszonce były nożyczki i wełna. Pierścionek został zagrabiony.

Zagnano nas do sauny. Kobietom i dzieciom kazano rozebrać się do naga. Dla mojej mamy to było niewyobrażalne: rozebrać się przed własnymi dziećmi! Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam nagie ciała dorosłych ludzi. Różniły się od siebie. Jedne były ładne, inne odrażające. Po wyjściu z łaźni rozpoczęło się obcinanie włosów. Moje ścinała Polka. Kiedy je skróciła, powiedziała do mamy:

– Dobrze, że tu trafiłyśmy. Przynajmniej mi warkocze obcięły.

W szkole za moje długie, zaplecione w warkocz włosy ciągnęły mnie chłopcy. Co takie małe, ośmioletnie dziecko może rozumieć? Dla mnie liczyło się wtedy tylko to, że nikt więcej nie będzie mi dokuczał. Pamiętam, że chciałam się ostrzec jeszcze w domu, ale tata był przeciwny. Mówił, że jeśli to zrobię, on wyjedzie do Niemiec na roboty. Oczywiście żartował, bo lubił moje warkocze. Mama do obozu przyjechała już z krótkimi włosami.

¹⁸ Kapo – w tzw. samorządzie więziarskim określenie więźnia nadzorcy komanda. Etymologię tej nazwy wywodzi się zazwyczaj od włoskiego słowa „capo”, co oznacza głowa, szef. Kapo posiadali praktycznie nieograniczoną władzę. Mogli dowolnie karać więźniów, popędzać kijem, a nawet zabijać. Do ich obowiązków należało m.in. nadzór nad tworzeniem komand, składanie meldunków o stanie liczbowym oraz zapobieganie ucieczkom. Po powrocie więźniów do obozu i apelu wieczornym ich rolę przejmowali blokowi. Kapo mieszkali oddzielnie, zazwyczaj wraz z innymi uprzywilejowanymi więźniami.

Później podczas pobytu w obozie ogolili mi głowę do skóry z uwagi na nieprzeznaczające się włosy. Nie żałowałam włosów. Dobrze, że je ścięli. Nie mogłam ich uczesać ani umyć. O ogoloną głowę nie musiałam się martwić.

Nam, dzieciom, pozostawiono nasze ubrania. Widocznie nie mieli najmniejszych niż standardowe pasiaki. Mamie przypadła ohydna sukienka, szelwina, z dekoltem po sam pas. Okropieństwo! Następnie zapędzono nas do lageru kobiecego – FKL¹⁹. Ustawiono stoły, wpisano nas na listę i przydzielono nam numery obozowe. Od tego momentu byłam więźniem politycznym. Odebrano mi imię i nazwisko, nadano numer 84457, na czerwonym winklu widniała litera „P” – Polka. Mama dostała numer 84456, a brat 192761. Zaprowadzono nas na blok 16. Na razie byliśmy razem.

Smutki i zmartwienia

Katędego ranka wypędzono nas na apel. Musiałyśmy stać nieruchomo przez wiele godzin. Choć był sierpień, o wczesnej godzinie na ziemi dostrzec można było szron. W dzień zaś, gdy słońce wzeszło wysoko, panował upał nie do wytrzymania.

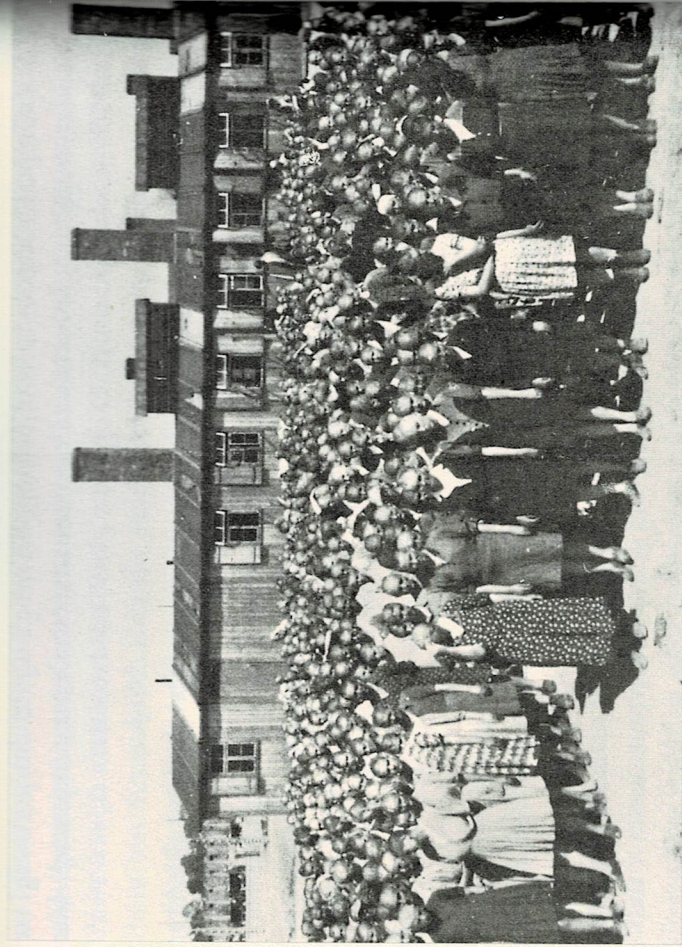
Zachorowałam na *durchfall*.

Mężczyła mnie biegunka, nie mogłam przyjmować i tak niewielkich porcji jedzenia. Na tę chorobę wielu ludzi umierało! Tymczasem do obozu przyjechało trzech mężczyzn, delegowanych z obozu macierzystego Auschwitz I. Mieli w Brzezince do wykonania jakiegoś prace, możliwe, że budowlane. Mama rozpoznała wśród nich znajomego i poprosiła go o pomoc. Co ma ze mną zrobić? Czym wyleczyć?

– Czy jest tu jakiś lekarz? Córcia ma wysoką gorączkę, biegunkę. Co mam robić?

– A broń cię Panie Boże, żaden lekarz! – odparł natychmiast. – Tu zresztą nie ma specjalistów, dziewczyno – dodał, obiecując, że postara się nam pomóc. Jeśli nie on sam, to poda przez innego więźnia „lekarstwo”. I przeczywiście. Nazajutrz jakiś mężczyzna przyniósł mamie kilka surowych kartofli, które kazał skrobać łyżką i podawać mi z przypalonym chlebem – węgiel i skrobina. Na bloku stał piecyk, na którym sztabowa gotowała dla siebie posiłki. Mama wykorzystywała go podczas jej nieobecności. Przypalony chleb z surowym ziemniakiem był ohydny w smaku, ale skuteczny! Mamie udało się mnie wyleczyć.

¹⁹ FKL, skrót od niem. *Frauenkonzentrationslager* – kobiece oboz koncentracyjny.



Pierwszy apel. Żydówki stoją jeszcze w cywilnych sukienkach, po strzyżeniu, 1944 rok.
Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-168=176

– Nie dawaj jej tej wstretnej wody do picia – zaznaczał znajomy. Woda rzeczywiście była brudna i śmierdząca. Na jej dnie osadzał się mętny, podobny do benzyny osad. Nie tknęłam jej już do końca obozu.

Pewnego dnia mama zauważyła na moim ciele liszaję. Zostałam zaprowadzona na rewir. Jeśli choroba okazałaby się zakaźna, nie wróciłabym ze „szpitala”. Mama się tego bardzo bała. Tymczasem esesman w białym lekarskim fartuchu przyjrzał się moim zmianom skórny i po polsku, choć nie dbałe, powiedział:

– Niezakaźne. Może żyć.

Byłam ulaskawiona. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, w jak poważnej sytuacji się znalazłam. Lekarz mógł wydać wyrok śmierci, a ja kolejny raz jej umknęłam.

Po około miesiącu kwarantanny mamę zabrali na inny blok. Wszystkie dzieci zostały same. Nie było już w pobliżu mam, które mogły się choć sporadycznie z nami spotkać, przytulić nas i przynieść swój chleb. Ale czasami, kiedy blokowa miała dobry humor, pozwalała na krótkie widzenia.

Z kolei 21 sierpnia 1944 roku brata zabrali na lager męski. Tam spotkałam Opatka raz widział go 25 sierpnia. To od niego dowiedzieliśmy się później z mamą, że tatę wywieziono w nieznaną. Zanim jednak spotkałyśmy brata, przez blisko trzy miesiące nie miałyśmy żadnych informacji ani o nim, ani o tacie.

Jak się potem okazało, tata trafił do obozu koncentracyjnego Natzweiler-Struthof²⁰.

Smak

Na bloku obowiązywała nas ścisła blockspera²¹, czyli zakaz wychodzenia. Wiadomo, jeśli siedzimy na miejscu, mają nad nami kontrolę. Pamiętam dokładnie, jak przychodzili do nas dwie kobiety, Maria i Krik, pełniące prawdopodobnie funkcję blokowych, i krzyczały:

– Jak ktośś złapie, to na blok wróci jako trup!

W ten sposób chciały nas zniechęcić do prób pobiegnięcia do matek, które znajdowały się w baraku obok. Mimo to pewnego dnia udało mi się wymknąć z bloku 5 do tego naprzeciwno. Pod dwoma blokami obozowego

Na końcu lagru po prawej stronie znajdował się nieduży barak – trupiarnia, w której składano zmarłych na rewirze. Pod dwoma blokami obozowego „szpitala” co rano leżała sterta nagich ciał. Co pewien czas przyjeżdżała ciężarówka i wywoziła je do krematorium. W tym dniu, gdy wymknęłam się do mamy, natknęłam się na taką ciężarówkę. Widok był wstrząsający dla dorosłego człowieka, a co dopiero dla ósmioletniej dziewczynki! Cała paka zapelniona była nagimi zwłokami wychudzonych ludzi. Powyginane ręce i nogi. Same kości pokryte skórą. Jak nieruchome gałęzie drzew, porzucone niedbale. Nie da się o tym zapomnieć. Byłam przestraszona. Okupacja nauczyła mnie życia w strachu, ale tej sytuacji nie da się porównać z niczym innym. Utrwaliła się w pamięci na zawsze.

Do mamy wybrałam się potajemnie jeszcze raz. W obozie wszystko wydawało mi się takie samo: podobne bloki, drożki, brak trawy, jakiegokolwiek znaku szczególnego w poszczególnych barakach. Do tego stopnia zlewało się to w jedno, że zablądziłam. Krążyłam pomiędzy barakami, aż

²⁰ Konzentrationslager Natzweiler-Struthof – niemiecki obóz koncentracyjny, założony we wsielonej do Rzeszy Alzacji, w Wogezach, koło wioski Natzwiller (niemiecka nazwa Natzweiler). Istniał w latach 1941–1944.

²¹ Blockspera, z niem. *Blocksperre* – zakaz opuszczania bloków, wprowadzany przeważnie wtedy, gdy władze obozowe chciały wykonywać pewne czynności bez świadków.

dziwię się do dziś, że ktoś mnie nie złapał i nie zabił, podejrzewając, że staram się uciec. Kompletnie nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Wreszcie zauważyła mnie jakaś kobieta, więźniarka, i zabrała do baraku, w którym przebywała. Zaopiekowała się mną, poczęstowała czymś w rodzaju placaka. Nie wiem dokładnie, co to było. W odróżnieniu jednak od reszty jedzenia w obozie miało smak. Było pyszne! Nie poniosłam żadnej kary za tę „wyprawę”, nikt się o niej nie dowiedział. Przed apelem byłam już na swoim bloku.

Obozowe dzieci

Chodziliśmy głodne w dzień i głodne zasypialiśmy. Z koleżankami z kolczykami często w opowieściach wracaliśmy do „pysznych” wspomnień. Rozmawialiśmy o tym, co mamy gotowały w domu i co najbardziej lubiliśmy jeść. W obozie to było naszą główną „rozrywką”.

Pamiętam, jak pewnego dnia do naszego bloku przyszedł mężczyzna. Malował na ścianie kolorowe obrazki. Na jednej narysował szkołę i dzieci, jedno z nich miało na sznurku przywiązaną gąbkę. Na innej ścianie znalazła się trójka dzieci z zabawkami. Pamiętam konika na patyku i piłkę. Ten dzień to była atrakcja! Wróciły wspomnienia z domu, szkoły. Tak odległe od rzeczywistości, w której tkwiłyśmy.

Dni zazwyczaj mijały nam spokojnie, choć tęskno było za rodzicami. Byliśmy traktowane jak więźniowie, z tym że nie wymagano od nas dużo. Z wyjątkiem porannych i wieczornych apelei całymi dniami siedzieliśmy w więzieniu. Czasami jakaś blokowa, o ile humor jej dopisywał, pozwalała spotkać się z mamą. To były piękne, choć krótkie chwile. Na moment wydawało się, że jest bezpiecznie i że wrócimy do domu. Po rozstaniu z mamą mijały jednak nadzieja i entuzjazm.

Młodsze dziewczynki tkwiły przez większość czasu na kojach. Starsze pomagały. Te, które miały więcej siły, wysyłano po zupełny wywar do picia, który nazywaliśmy „ziólkami”. Nie wiem, z czego te ziółka były robione, ale smakowały ohydnie. Były jednak gorące i to było ważne.

Inne dziewczynki sprzątały, zamiatały. Miały za zadanie utrzymać ogólny porządek w bloku. Innymi słowy – wyręczały sztabową i blokową w ich obowiązkach.

Na początku mojego pobytu, gdy chciałyśmy się załatwić, byłyśmy wyprawiane do odrębnego bloku. Szybko jednak zrezygnowano z tego pomysłu. W zamian stworzono „kible”. Najczęściej wiadra, które po zapełnieniu – co przy takiej liczbie osób nie było trudne – musiały wynosić starsze

dziewczyna. Każda z nas liczyła, że to akurat nie jej przypadnie wynoszenie wiadra z odchodami. Do „kibli” ciągnęła się zawsze długa kolejka. Wiele dziewczyn miało rozstrój żołądka, chorowało i trafiało do obozowych szpitali. Nie było dostępu do bieżącej wody, więc o higienie można było tylko pomarzyć. Niekiedy blokowe lub sztabowe biły nas po głowie kijem od miotły za to, że w ogóle stałyśmy w kolejce, by się załatwić. Rozkazywały, aby wrócić do kojek. Pamiętam jedną koleżankę, miała wówczas szesnaście lat i chorowała na padaczkę. Kiedy dostawała ataku, blokowa biła ją kijem.

Jesienią przeniesiono nas na lager cygański BIIe na blok numer 5. Blokową była pani Roma Ciesielska; prawdopodobnie to ona uprosiła dla nas możliwość pozostawania zimą w baraku podczas apelów.

Matki były w bloku naprzeciwko i mogły nas czasami odwiedzać. Bezpośrednio za drutami znajdował się też lager męski, gdzie przebywał mój brat. Była to wielka radość, mogłam go widywać, wiedziałam, że żyje, a czasem nawet przynosił mi pod druty coś do jedzenia.

Ochotniczki

Jak wspomniałam, przez długi czas nie wiedziałyśmy z mamą nic o ojcu i bracie. Pewnego dnia przyszła kapo i oznajmiła:

– Potrzebuję kilku kobiet, najlepiej takich, które mają synów, bo będzie możliwość ich zobaczyć.

Mama od razu się zgłosiła. Za drutami było dużo chłopców, panował chaos, każda kobieta starała się znaleźć swoich bliskich. Wszystkie dopytwały się o synów, ojców, braci, przyjaciół. Ktoś ich widział? Czy ktoś o nich słyszał?

Trudno było w takim tłumie kogoś odnaleźć. Nagle wśród dziesiątków głosów mama usłyszała głos mojego brata. Rozejrzała się gorączkowo i go zobaczyła. Serce ścisnęły matczyna miłość i radość, że Jacek żyje. Miał na sobie czapkę, którą – jak później opowiedział – kupił za porcję chleba. Chciał być traktowany jak dojrzały mężczyzna, dorosły więzień.

Śnieg skrzył się, raził w oczy

Śledmnastego stycznia 1945 roku odbyła się ostatnia wywózka więźniów. Podczas wyzwoleń było strasznie zimno. Gdy wypędzali nas z Brzezinki, panowała sroga zima, był wielki mróz. Cały obóz przykrywał śnieg i mocno

świeciło słońce. Śnieg skrzył się, rażąc w oczy. Pamiętam ten dzień. Jako dziecko niewiele rozumiałam. Skąd mogłam wiedzieć czy nawet podejrzewać, co się z nami stanie? Ten śnieg utkwiał mi w pamięci i nawet dziś mam go przed oczami.

Dzień wcześniej na apelu organizowano grupę więźniów na transport. Wywołano mój numer, a na oddzielnych blokach także mamy i brata.

Dotarliśmy do Berlina, do podobozu Sachsenhausen w dzielnicy Köpenick. Tam spędziliśmy dziesięć dni. Niemcy kazali nam udać się do stołówki, gdzie każdy dostał przydział chleba. Ja z mamą i bratem otrzymaliśmy jeden, średni bochenek. Zjedliśmy go od razu. Przyjeliśmy, że przynajmniej nikt nam go nie zabierze. Jeśli jakąś część schowamy, to kto wie, co się stanie? Tak rozumuje głodny człowiek.

Dziś, w domu, zawsze muszę mieć chleb. Nawet jeśli jest go zbyt dużo, nawet jeśli nie zjem. Muszę mieć pewność, że chleba nigdy mi nie zabraknie.

Największa strata

Z Berlina zostaliśmy skierowani do kolejnego transportu. Udało nam się zaoszczędzić na tę podróż trochę chleba, bo warunki w Köpenick były znacznie lepsze niż w KL Auschwitz-Birkenau. Mama zawięła pieczywo w ubrania, włożyła do małego tobołka z naszymi rzeczami i oddała bratu, aby pilnował. Gdy wyszliśmy z pociągu na jednej z przesiadkowych stacji, mama zorientowała się, że brat zapomniał pakunku! Cały nasz prowiant, jedyne źródło pożywienia (nie wiadomo przecież, kiedy znów ktoś uraczy nas kromką chleba!) Mama chciała jeszcze wrócić do pociągu, ale ten już ruszył. Nie pozwolono jej podejść. To było straszne! Dziś pewnie może się to komuś wydać niedorzeczne, jednak wtedy był to nasz cały dobytek. Straciliśmy go. W tamtym momencie to była największa strata w życiu!

Dalsza droga była dezorientująca. Nastął luty. Przez cały miesiąc przebywaliśmy w Lipsku. Zakwaterowali nas niedaleko zbombardowanej fabryki samolotów. Naloty nie ustępowały. W dniach 13 i 14 lutego 1945 roku zbombardowane zostało Dreźnie, a w końcu lutego Lipsk. Tuż potem wywieziono nas z powrotem do Berlina – dokładnie w to samo miejsce, w którym byliśmy wcześniej. Wyglądało jednak zupełnie inaczej. Sztuba była pusta, nie było na czym się położyć ani czym przykryć, spaliliśmy w tym, w czym chodziliśmy. Naloty przybierały na sile. I tak do drugiej połowy kwietnia.

Któregoś dnia z samolotów rozrzucano ulotki z informacją, aby nie wychodzić na zewnątrz. Najlepiej schować się w bunkrach lub innych schro-

żyć, gdyż w najbliższych dniach nadejdzie front. Nikt nie będzie się wówczas zastanawiał, kto jest wrogiem, a kto nim nie jest. Jeśli więc chcemy schować życie, lepiej się schować.

Zanim przyszedła wyczekiwana wolność, doświadczyłam scen niczym z najlepszych filmów „z efektami”. Widziałam ścianę ognia z rosyjskich karabinów. Na całym horyzoncie ogień. Obserwowałam to na własne oczy.

Wobec ostatnich wydarzeń i ostrzeżeń siedzieliśmy w bunkrze przez kilka dni. Pamiętam tylko, że obok niego znajdowała się piwnica z dużą ilością amunicji. Mieliśmy inny wybór? Niestety nie. Liczyliśmy jednak, że nie wydarzy się nic złego. Amunicja nie wybuchła. Nikomu nic się nie stało. Przyszła wolność. Tylko do domu i do spokoju było nam jeszcze daleko.

Dotrwaliliśmy do 23 lub 24 kwietnia 1945 roku, gdy wreszcie na teren dotarł weszły Wojsko Polskie i Armia Radziecka.

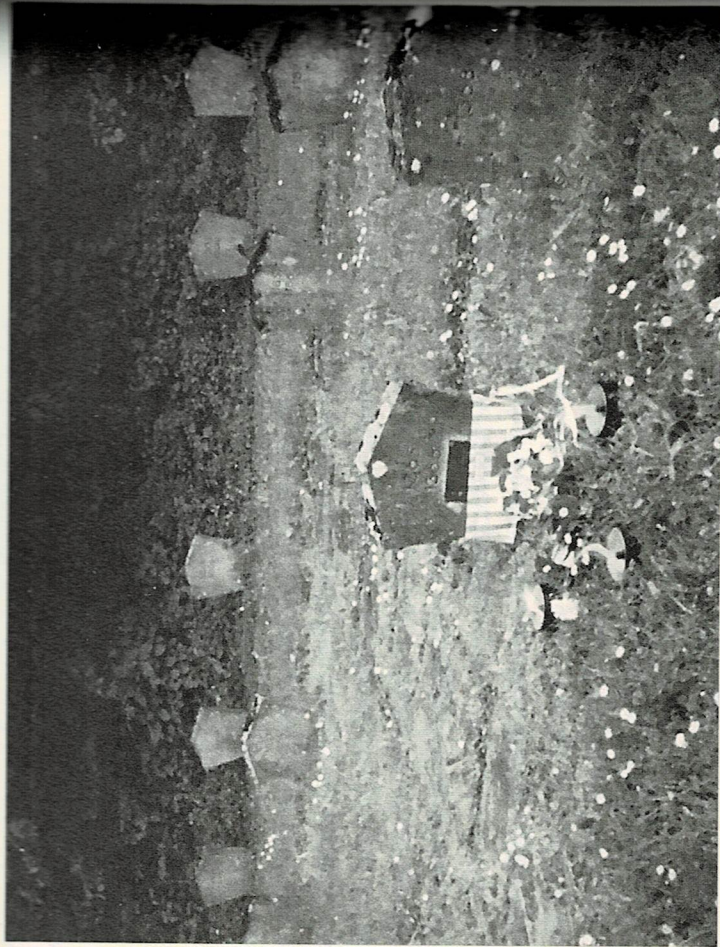
Pamiętam, jak nocą byliśmy prowadzeni płonąca ulicą w kierunku rzeki. Przemysłowa strona przewoziła czołgi, w drugą – transporty ludzi. Jako dziecko wydawało mi się, że te czołgi były ogromne. Wyglądały jak domy. Dopiero jako dorosła dziewczyna, widząc czołgi w muzeum, zrozumiałam, jak bardzo małemu dziecku świat wydaje się wielki.

Była nas duża grupa – cały transport z Auschwitz. Trzymaliśmy się razem, ostatnie dni wojny to był bardzo niebezpieczny czas. Z Berlina pamiętam jeszcze płonący las. Jest to widok, którego nie można zapomnieć. Przeważa wyglądały jak płonące kolumny – strasznie. Było ciemno, ja i brat burczowo trzymaliśmy się mamy, żeby się nie zgubić. Żołnierze wyprowadzili nas za linię frontu i kazali iść do Warszawy. Po drodze nocowaliśmy w mijanych wioskach, po kilku dniach znaleźliśmy się nad Odrą w Kostrzynie i mostem pontonowym przeszliśmy do Polski.

Trzy kolejne dni to podróż pociągiem do stolicy. Kiedy wysiedliśmy na Dworcu Zachodnim, dookoła były same ruiny. Warszawy nie było. Pozostałiliśmy dom stojący, a co zastaliśmy? Zgliszcza po bombardowaniach. Ani domu, ani taty, który – mieliśmy nadzieję – na nas czeka.

W Warszawie pozostali moi dziadkowie. Sąsiadka powiedziała nam, gdzie ich szukać. Wszyscy bliscy, którzy przeżyli, byli u ciotki. Jej mieszkanie znajdowało się na ówczesnej ulicy Szustra pod numerem 44 – jedyne całe mieszkanie w rodzinie.

Mama była schorowana i spuchnięta. Ja z bratem mieliśmy silny szkorbut. Byliśmy pierwszymi żyjącymi z rodziny, którzy wrócili. Nastąpiło to 3 maja 1945 roku. Wszyscy uznali, że skoro moja mama, kobieta z dwojgą dzieci, wróciła cała i żywa, to z pewnością mężczyznom także się uda. Czekaliśmy. Aż do października.



Odnaleziony po latach w Vaihingen grób ojca Urszuli Koperskiej. Fot. Archiwum rodzinne

W pewien pochmurny dzień do drzwi zapukał młody, dziewiętnastoletni chłopak. Wręczył mamie pismo wydane przez wojska francuskie, zawierające wiadomości o śmierci ojca. „Posłaniec” znał nasze imiona. Okazało się, że pochodził z Mokotowa i spędził z moim tatą wiele czasu w obozie. Był przy nim, gdy ten umierał na tyfus. Opowiadał, że ojciec do końca o nas mówił, pamiętał, kochał. Podobno bardzo cierpiał, że nie był blisko nas i nie mógł nam pomóc. Wykańczał się psychicznie z tęsknoty i bezsilności. 18 marca 1945 roku w Vaihingen²² tata odszedł. Miał trzydzieści dziewięć lat.

²² Vaihingen an der Enz – miasto w Niemczech, w kraju związkowym Badenia-Wirtembergia, w regionie Stuttgart. W czasie II wojny światowej podobóz Natzweiler. Po ekshumacji ciał z grobów masowych w 1954 r. z obozu koncentracyjnego Vaihingen/Enz ofiarom zostały ponownie przydzielone numery. Pogrzeby odbyły się anonimowo, częściowo w podwójnych grobach. Na nagrobkach znajdują się tylko numery. Ale rodziny potrzebowały nazwisk i miejsc upamiętnienia zmarłych członków rodziny. W związku z tym członkowie organizacji Obóz Pamięci Vaihingen/Enz apelowali o przywrócenie poległym tożsamości.

został pochowany razem z innymi zmarłymi więźniami w dole pod lasem, z kwietnia przyszła wolność. Tak mało brakowało.

W tego październikowego dnia umarły nasze nadzieje, nie było już na co tego kogo czekać. Ale musieliśmy iść dalej. Żyć.

Po czterdziestu czterech latach, w 1988 roku, odnalazłam grób swego taty. Leży na małym przyobozowym cmentarzu, który powstał w 1956 roku, wtedy wydobyto ciała z dołów. Rozłożono po dwóch zmarłych w jednym grobie. Na cmentarzu zostało pochowanych ponad dwa tysiące ofiar.

Jestem szczęśliwa, że znalazłam to miejsce, że szczerki tak bliskiej mi osoby spoczywają w spokoju i mogę je czasami odwiedzić – zapalić znicz, podłożyć kwiaty. Że tak daleko? Trudno.

Do szkoły w beżowym berecie

Zaraz po powrocie do Warszawy wróciłam do szkoły. Mieściła się ona w prywatnym mieszkaniu przy ulicy Wiktorskiej. Pierwszego dnia poszłam w beżowym berecie, bo byłam łysa. Jedne dzieci patrzyły na mnie z zaciekawieniem, inne ze współczuciem. Nie każdy w końcu był w Oświęcimiu. Nie wszyscy musieli wiedzieć, co mnie spotkało i jak potoczyły się moje wojenne losy.

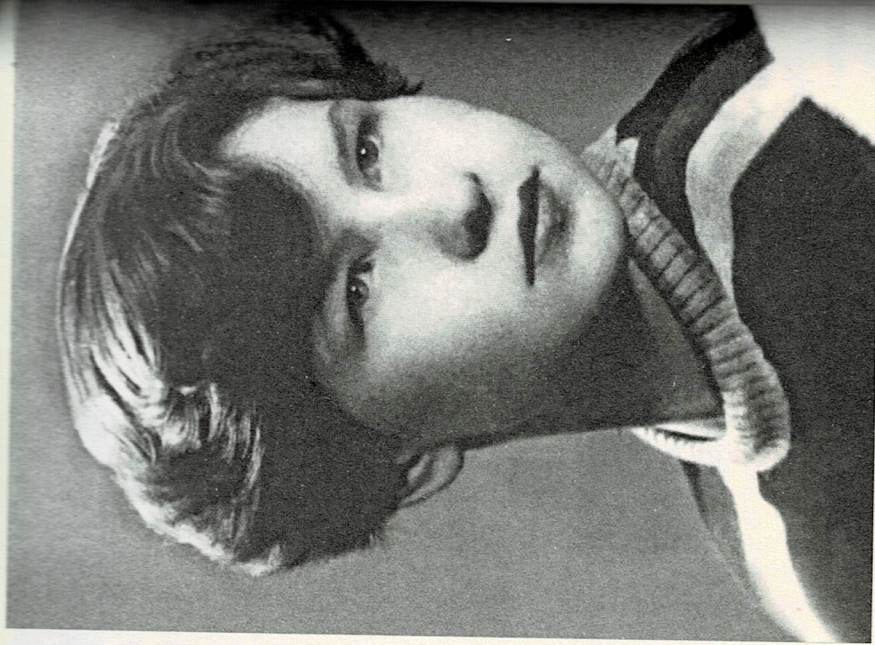
Nie mogłam zapomnieć obozu. Jakaś część mnie ciągle pamiętała o tych tropach na ciężarówce, barakach, pomiędzy którymi błądziłam, o rampie, na której oddzielono nas od taty. Moja mama mówiła: „było, minęło, przeżyliśmy i nie ma co wspominać”. Nie chciała wracać do przeszłości. Wiem jednak, że też często myślała o tym, co nas spotkało. Zmarła 31 grudnia 1955 roku. Miała tylko czterdzieści osiem lat.

Dziś wspominam tamte okrutne czasy w trwodze, że świat znów spotka ten sam los. Że wcześniej czy później ponownie ludzie zostaną podzieleni na lepszych i gorszych. Zresztą, czy już się tak nie dzieje? Mam jednak nadzieję, że nasze losy przetrzegą przed wojnami – zarówno tymi dużymi, jak i małymi, bo one zawsze niszczą. Niszczą życie rodzin, domy, marzenia i świat, który nigdy potem nie jest już taki sam.

Biel jest nieskazitelna

Podczas prawie każdej rocznicy wyzwolenia jest bardzo zimno. Jakby pogoda chciała przypomnieć tamten zimowy dzień. Gdy pewnego razu pojechałam ponownie do Oświęcimia z tej właśnie okazji, spałam z całą grupą

Urszula w wieku
16 lat, Warszawa.
Fot. Archiwum
rodzinne



byłych więźniów u księdza w Brzezince, zaraz przy obozie, gdzie teraz znajduje się plebania. Było już ciemno. Stałam w oknie na pierwszym piętrze i patrzyłam. Cała połać ziemi pokryta białym śniegiem.

Było tak cicho.

Było tak biało.

Palily się tylko lampy, zupełnie jak wtedy, gdy byłam więźniarką.

Tym razem stałam, patrząc na obóz z drugiej strony. Byłam wolna. Kolejny raz wróciłam tu jako wolny człówek.

„Boże” – pomyślałam – „gdyby tak wstali wszyscy, którzy tu kiedyś zostali... Na tej ziemi...”

Spojrzałam raz jeszcze w stronę baraków i cichych ulic. Biel wyglądała tak nieskazitelnie. A przecież pod nią kryje się cmentarz.

Cmentarz bez grobów.

Pamiętnik warszawskiego chłopca

Obaj bracia obóz był równie traumatyczny jak dla mnie. Był starszy, więc więcej rozumiał, więcej widział, dostrzegał. Przez to też pewnie bardziej się bał. Skierowany do pracy jako dorosły, każdego dnia walczył o przetrwanie. Pracował ponad siły. A miał przecież tylko dwanaście lat! Swoje emocje opisał w pamiętniku.

1 sierpnia 1944 roku

W Warszawie wybuchło powstanie przeciwko hitlerowskiemu okupantom.

4 sierpnia 1944 roku

Dom, w którym mieszkałem, spalono. Stałem pod murem i czekałem wraz z innymi na rozstrzelanie.

12 sierpnia 1944 roku

Wczoraj wieczorem przywieziono nas do K.L. Auschwitz-Birkenau. Ojca od nas oddzielono. Jestem razem z mamą, 8-letnią siostrą Urszulą i ciocią.

14 sierpnia 1944 roku

Trzeci dzień bez jedzenia i picia. Jestem bardzo głodny.

15 sierpnia 1944 roku

Oznaczono mnie numerem 192761. Mam czerwony „winkiel” – jestem więźniem politycznym.

21 sierpnia 1944 roku

Uznano mnie za dorosłego i przeniesiono na męski lager.

25 sierpnia 1944 roku

Pożegnałem się z ojcem. Wywieziono Go w nieznanym kierunku. Czy Go jeszcze kiedy zobaczę?

25 października 1944 roku

Dzisiaj ukończyłem 12 lat!

24 grudnia 1944 roku

Dzisiaj Wigilia.

Wcześniej zakończyliśmy pracę. Apel nieco krótszy. Obiad: po pięć nieobranych kartofli, trochę zupy z całymi liśćmi jarmużu. Wydano od razu kolację: pajdka czarnego chleba, cieniutki plasterki końskiej kielbasy, kawaleczek margaryny. Na buksie śpi nas ośmiu. Postanowiliśmy wspólnie zjeść dzisiejszą kolację.

Zupę każdy wypił sam. Kartofle złożyliśmy do jednej pastastej mycki. Wspólnie je obieramy. Chleb pokroiliśmy na kromki. Jedna jest bardzo cieniutka – to będzie optatek! Kolacja przygotowana. Zastaniamy kocami boki buksy – chcemy być sami. Tak robią Ci nad nami, Ci pod nami i inni. Dzielimy się kawałkami czarnego chleba jak optakiem: „Abyśmy przeżyli i byli wolni”, „Abyśmy spotkali naszych bliskich żywych i zdrowych” ...

Mysł ucieka do Warszawy, na Błie do Matki i Siostry, w nieznane do Ojca. Każdemu chyba chce się płakać, ale nikt nie płacze! W milczeniu zjedliśmy dzisiaj wszystko. Chociaż dziś być sytym. A jutro... nieważne! Kolacja trwała krótko – nie było przecież wiele do jedzenia.

I nagle na bloku rozbrzmiała stara polska kolęda: „Bóg się rodzi...” śpiewają wszyscy, a szczególnie mocno i głośno zabrzmiały słowa: „Podnieś rękę Boże Dziecię, Błogosław Ojczyznę miłą...”

Może usłyszysz tę prośbę Ten, który się dziś narodził! Także tu!

Tu – W Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau.

192761

Pamiętnik spisany przez Jacka Kublika. Tekst pochodzi z rodzinnego archiwum pani Urszuli Koperskiej, przepisany przez kogoś z rodziny na podstawie oryginału.

Brat zmarł 14 sierpnia 2005 roku.



Urszula Koperska obecnie. Fot. Archiwum rodzinne

Idę obozowy: 50653

SEWERYNA PODBIOŁ z domu **Lejbowicz**

Wzrosła: 16 kwietnia 1923 roku w Chorzowie

Data wywózki do **Auschwitz**: około 20 lipca 1943 roku

Imony i podobozy koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau, Attanburg

Gdzie są twoje zęby? – spytałam. Mama miała złote koronki. Niemcy wyrwali jej zęby za życia dla tych kilku gramów złota.

SEWERYNA PODBIOŁ

Samotna w Auschwitz

Miała wtedy 20 lat. Przywieziono ją tu razem z mamą, która wkrótce zmarła. Była bardzo zaskoczona, gdy okazało się, że wśród obozowych władz jest Polka. Była ona wyjątkowo brutalna i okrutna. Seweryna nie mogła zrozumieć, jak Polka może Polce wyrządzać krzywdę.



3-letnia Seweryna z rodzicami, bratem Włodzimierzem i siostrą Janiną, 1926 rok. Fot. Archiwum rodzinne



Wojna Podbiel
Liceum błętniakim
1923 rok. Fot. Archiwum
rodziny

Rozdzieleni

Zanim wybuchła wojna, Polacy ze Śląska żyli z Niemcami w dobrych relacjach.

Chodziłam do gimnazjum w Chorzowie, a naprzeciwko znajdowała się *Eichendorffschule*²³ i wszyscy się tolerowaliśmy. Nawet kamienica, w której mieszkałaliśmy, należała do Niemca.

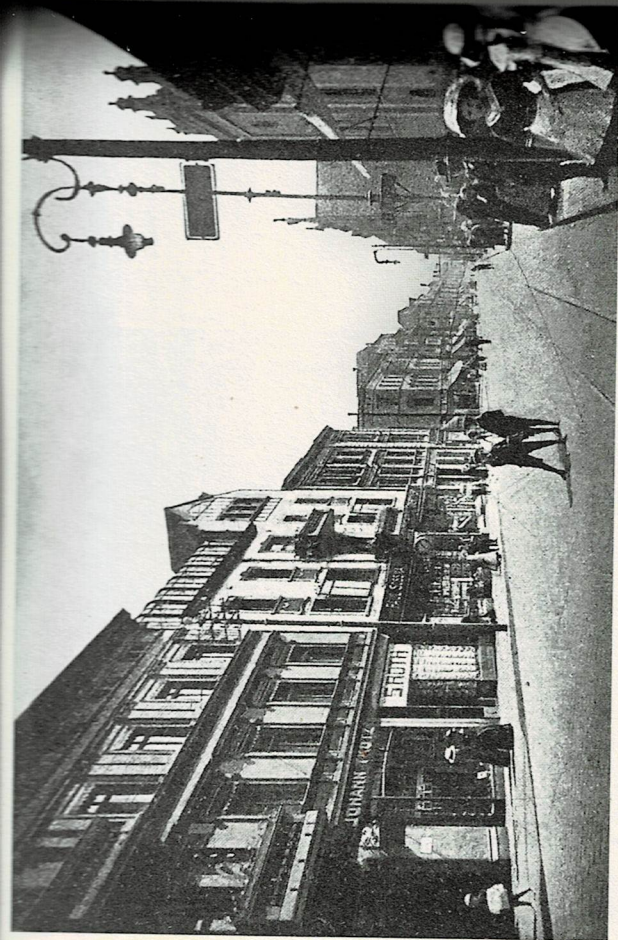
Na początku II wojna światowa nie wpłynęła na te relacje.

Kiedy Niemcy aresztowali mojego tatę, nie wiedziałam jeszcze, że działania wojenne rozdzielią nas bezpowrotnie. Już pół roku później gestapowcy z Żywca zabrali mnie i moją mamę Ludmiłę na posterunek do Bielska, aby nas przesłuchać.

²³ *Eichendorffschule* (niem.) – prywatne niemieckie gimnazjum im. Josepha von Eichendorffa, ul. Warte 18 września 1932 r. w Chorzowie. Obecnie w budynku mieści się Liceum Ogólnokształcące im. J. Słowackiego.



Mała Seweryna z mamą, 1923 rok. Fot. Archiwum rodzinne



Kamienice przy ulicy Wolności w Chorzowie. W jednej z nich do czasu okupacji mieszkała Seweryna Podbiół. Pocztówka. Fot. Archiwum rodzinne

- Dlaczego? Za co nas aresztowaliście? – dopytywała mama.
- Przez waszych kochanych Polaków – odpowiedział jeden z niemieckich funkcjonariuszy.

Był 20 lipca 1943 roku. Pamiętam tę datę, bo z samego rana poszliśmy do kościoła na mszę za duszę mojego szwagra, a zięcia mamy, Czesława – na ten dzień przypadła jego imieniny. Czesław zginął w Katyniu, był mężem mojej siostry. Po mszy mama wróciła do domu, a ja udałam się do pracy do zakładu fotograficznego, którego właścicielem był pan Jankowski.

Lubiłam tę pracę. Dzięki temu, że znałam język niemiecki, mogłam obsługiwać nie tylko Polaków, co cenił sobie mój szef. Mnie aresztowali właśnie w zakładzie fotograficznym, a mamę w domu. Spotkałyśmy się dopiero na miejscu przestuchania.

Nie trzymali nas tam długo. Niemalże natychmiast przewieźli nas furgonetką do Oświęcimia.

Na Śląsku słyszało się o obozie Auschwitz-Birkenau i co robią tam z ludźmi. Wiedzieliśmy, że jest to obóz zagłady. Nikt nie domyślił się nawet, co poczułam, gdy się dowiedziałam, gdzie mnie zabierają! Strach mieszał się z niedowierzaniem, że to naprawdę mnie spotyka! Miałam wtedy dwadzieścia lat,



Scena Bożego Narodzenia w rodzinie państwa Podbiół. Seweryna trzyma pudełko z porcelanową lalką, 1928 rok. Fot. Archiwum rodzinne

więc doskonale rozumiałam, że podróż ta niesie za sobą śmiertelne niebezpieczeństwo. W końcu o Oświęcimiu wiele osób mówiło, że wchodzi się tam przez bramę, a wychodzi kominem. Dla nas było to więc jak wyrok śmierci.

Zanim mnie aresztowali, zdążyłam jeszcze spotkać miłego chłopca, Jeżego. Zaprzyjaźnił się do tego stopnia, że poznałam jego matkę, Joannę Podbiół. Myślałam wtedy, że gdyby nie wojna, może nasze losy potoczyłyby się inaczej i mielibyśmy szansę na wspólne życie. Będąc w obozie, byłam jednak przekonana, że żadna przyszłość mnie nie czeka.

Przyjęcie nas do obozu odbywało się w Brzezince. Tym, co w obozie zagłady było najgorsze i czego nie mogę zapomnieć, był rozkaz Niemców, aby rozebrać się do naga, co sprawiło, że poczułam się całkowicie odarta z honoru i godności. Nie tylko jako kobieta, ale przede wszystkim jako czło- wiek. Szokiem dla mnie było także ścięcie włosów i wytatuowanie numeru obozowego.

Tatuaż robiła mi Żydówka. Nakłuwając skórę, wielokrotnie sprawiała mi ogromny ból. Później w miejscu wytatuowanego numeru zrobiły się wrzody, a następnie strupy. Numer obozowy na moim przedramieniu pozostał do dziś, tak jak wszystkie tragiczne wspomnienia. Ani one, ani tatuaż nie chcą zblaknąć.

Do ubrania dostaliśmy pasiaki i drewniane trepy. Ironią było, że tak umęczone i wychudzone nosiliśmy drewniaki kilkakrotnie większe od naszych stóp. Niektóre kobiety nie miały siły podnosić nóg, aby chodzić. A co dopiero pracować.

Praca była typowo fizyczna. Przynajmniej ta, do której mnie skierowano. Najpierw noszenie kamieni – z jednego miejsca na drugie, tylko po to, aby nas zmęczyć i czymś zająć. Niczem więcej to nie służyło. Innym razem była to fizyczna praca przy burakach cukrowych.

Kilka gramów złota

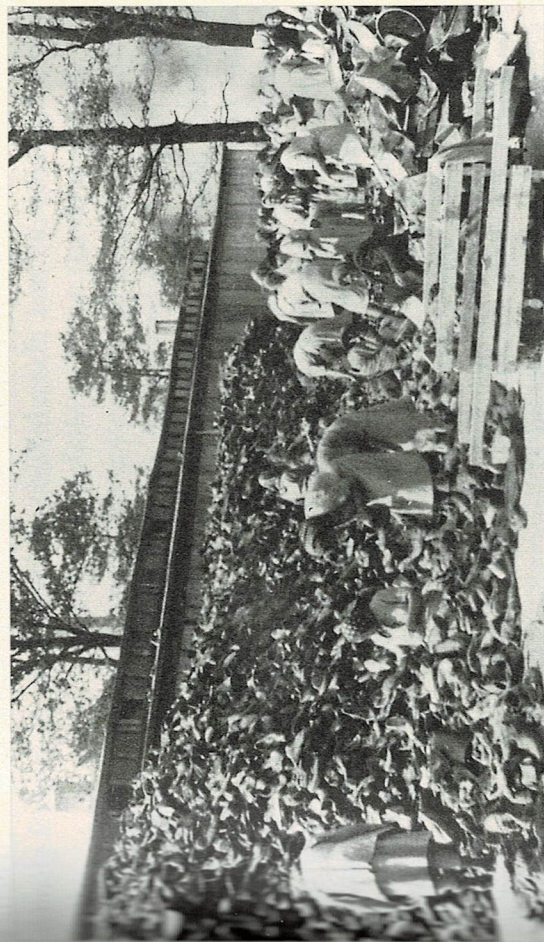
Do Oświęcimia trafiłam razem z mamą i z nią byłam na jednym bloku, na wspólnej koi przez długi czas. Nie mogę powiedzieć, że dzięki jej obecności było mi łatwiej w obozie, bo te warunki ciężko było znieść zarówno wspólnie, jak i w pojedynkę. Było mi na pewno łatwiej psychicznie, ponieważ miałam przy sobie kogoś bliskiego, z kim można dzielić smutek i strach przed kolejnym dniem.

To poczucie bliskości z mamą i jednocześnie komfort obcowania z nią zniknęły w 1944 roku. Nie wiem dokładnie, kiedy mama zachorowała, bo w obozie ciężko było liczyć dni. Całkowicie traciło się poczucie czasu, bo też niewiele chyba wierzyło, że to miejsce uda się opuścić.

Mama trafiła do rewiru z wysoką gorączką, a ja nie mogłam jej pomóc. Niektórzy więźniowie przez kontakt z odpowiednimi osobami mieli dostęp, choć był on zakazany, do leków czy jedzenia w kuchni obozowej. Dzięki temu mogli ułatwić sobie życie i usmierzyc ból. Ani ja, ani moja mama nie miałyśmy takich możliwości. Pamiętam tylko, że gdy widziałam ją ostatni raz, wyglądała naprawdę słabo.



Włosy po zamordowanych Żydach z transportów w 1944 roku. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-176=196



Włosy butów zamordowanych Żydów przed magazynem Kanada. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-186=205



Ciężarówka wywożąca do magazynu Kanada rzeczy przywiezione przez Żydów, 1944 rok. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-173=116

– Gdzie są twoje zęby? – spytałam. Mama miała złote koronki. Niemcy wyrwali jej zęby za życia, dla tych kilku gramów złota. Zmarła w obozie na tyfus. Miała tylko 49 lat.

List do Matki

Na pamięć znam wiersz, który w obozie słyszało wielu więźniów. *List niewysłany*, zapamiętany przez kobiety jako *List do Matki*. Stworzony został przez jedną z obozowych poetek, również więźniarkę. Oddaje on doładnie to, co przeżywało się w obozie. Żadne inne słowa lepiej tych emocji nie mogą przekazać.

*Mamo, czy wiesz – moje ciało
Jest jednym wielkim wrzodem.
Tu wszy i pchły mnie jedzą
I tylko wyję z rozpaczny (...),
A na stajennej pryczy,*

*Bliski człowiek umiera (...),
To dobrze, że Wy nie wiecie,
Jak trup Jej leżał w błocie,
Pod blokiem z innymi trupami
O... nie leżała tam sama
Całymi godzinami.
Kochana Wasza mama...²⁴*

Moja mama zmarła i została sama, już nie miałam się komu pożalić. O tacie nie miałam żadnych wieści. Jak tu dalej samotnie brnąć w obozowe życie?

Polka przeciw Polce

Wśród obozowych władz znalazła się Stenia Starostek z Tarnowa²⁵. To była Polka. Pełniła funkcję kapo. Była zdecydowanie bardziej surowa od innych. Gdy przychodziła na *Appelplatz*²⁶, wszystkie kobiety drżały. Nawet komendant obozowego nie bał się tak bardzo jak jej. Stenia była wyjątkowo brutalna, okrutna. Potrafiła zbić do nieprzytomności, surowa była szczególnie dla Ukraińek. Dla Polek wcale nie była łaskawsza.

Była piękną, około dwudziestopięcioletnią kobietą. Zawsze miała dośkonałą fryzurę. A my przy niej w łachmanach, łyse. Ona Polka i my też Polki.

Słyszałam, że już w obozie otrzymywała anonimowe listy z pogrożkami, co jej zrobią, jak skończy się wojna. Ile było w tym prawdy? Wiedziała tylko ona sama. Po wojnie uciekła z esesmanami.

Chociaż oceniałam ją jako okrutną kobietę i nie chcę jej wybielać, muszę zaznaczyć, że w obozie każdy chciał po prostu przetrwać. Mimo że po wojnie

²⁴ *List niewysłany* (12.1.1943) [w:] *Na mojej ziemi był Oświęcim. Oświęcim w poezji współczesnej*, dz. cyt., s. 325–327.

²⁵ Stenia Starostek lub Starostka – numer obozowy 6865, ur. 1 maja 1917 r. w Tarnowie. W Krakowie została skazana przez hitlerowski sąd na karę śmierci zamienioną później na dożywotnie więzienie. W kwietniu 1942 r. skierowano ją do obozu Auschwitz-Birkenau jako więźniarkę. Ponieważ dobrze znała język niemiecki, została w sierpniu 1942 r. mianowana kapo w Auschwitz I, później przeniesiona do Brzezinki, gdzie była znana jako kapo Stenia. Wyjątkowo brutalna dla więźniarek. Data śmierci nieznaną.

²⁶ *Appelplatz* (niem.) – plac apelowy – miejsce zbiórki i przeglądu wszystkich więźniów z pola, ustawianych piątkami w kolejności bloków. Ponadto miejsce wykonywania wyroków śmierci, miejsce karnych apelii, egzekwowania kar.

została skazana, w Auschwitz-Birkenau przetrwała. Nie zgodzę się z tym, że zdrada, której się dopuściła, była warta życia, ale ona najwidoczniej na tyle wartościowała swój honor i to, że była Polką.

Dzięki funkcji, jaką pełniła, Stenia miała znacznie lepsze warunki do życia w obozie niż pozostałe więźniarki. Jadła inne posiłki, miała inne miejsce do mieszkania. Kapo, blokowe, sztabowe i więźniowie funkcyjni mieszkali w tak zwanych budach. W porównaniu z naszymi blokami były to lokalsowo urządzone pomieszczenia.

W obozie wielce pomocne było dla mnie to, że znałam język niemiecki. Rozumiałam, gdy do mnie mówili lub kiedy porozumiewali się między sobą. Dzięki temu więcej wiedziałam, a w razie konieczności mogłam się samą wytłumaczyć, obronić. Język przydał mi się też bardzo, gdy zostałam skierowana transportem do Niemiec.

Blockspera

Z obozu pamiętam jeszcze, jak wpędzano nas do baraków i zakazywano zarówno je opuszczać, jak i wyglądać na zewnątrz przez okienka. Za każdym razem wiedziałyśmy wtedy, że przywieziono kolejny transport Żydów. Od razu kierowani byli do komór gazowych. Esesmani zawsze wprowadzali takich zakaz, kiedy chcieli wykonać jakieś masowe egzekucje czy selekcję beznaocznych świadków. Całymi rodzinami zabijano Żydów, zabierając im wcześniej ich całe mienie.

Żydzi przywozili ze sobą wiele drogocennych rzeczy. To wszystko trafiło na Kanadę, a stamtąd było wysyłane, by zasilić III Rzeszę. Niemcy mocno wzbogacili się na tym zagrabionym przez wszystkie lata wojny mieniu.

Podobnie było z paczkami, które przysyłali raz na jakiś czas rodzina czy przyjaciele. Pakunki z rozkazu Niemców były kontrolowane w paczkarni, a znajdujące się w nich papierosy, alkohol czy listy musieli zabierać więźniowie i przekazywać Aufseherin.

Niemka w cywilu

Pod koniec 1944 roku zorganizowano transport do Buchenwaldu, do którego zostałam przeznaczona. Jechaliśmy w wagonach towarowych. Mijaliśmy Ravensbrück, gdzie także znajdował się niemiecki obóz. My jednak kierowaliśmy się dalej, aż do Altenburga, podobozu Buchenwaldu.

To miejsce w porównaniu z Oświęcimiem było rajem. Przede wszystkim Buchenwald nie był obozem zagłady, tylko pracy. A to było najważniejszą różnicą. Nie znaczyło to oczywiście, że ludzie tu nie umierali. Obóz ten był miejscem niewolniczej i ciężkiej pracy. Więźniowie również byli zabijani, choć na mniejszą skalę. Używano do tego dosercowego zastrzyku z fenolu lub ich straszano. Na więźniach przeprowadzano także naukowe i pseudonaukowe badania. Podobnie jak Auschwitz, Buchenwaldowi zostały przypisane słowa przewodnie, widniejące na bramie. Było to „*Jedem das Seine*”, co oznaczało: każdemu, co mu się należy”. Można się więc domyślić, że tu członkowie również nie nie znaczył.

Pracując w fabryce amunicji, zajmowałam się sprawdzaniem naboii. Musiałam wyszukiwać te uszkodzone, zarysowane. Razem ze mną pracowała na tej taśmie pewna Niemka z Altenburga. Nie była więźniarką ani funkcyjną, lecz cywilką. Z czasem nawiązała się między nami nić porozumienia. Dzięki temu, że znałam język niemiecki, mogłam z nią porozmawiać. W ten sposób wiele się o mnie dowiedziało. Dopytywała, skąd pochodzę i dlaczego znalazłam się w obozie. Z czasem zaczęła mi przynosić jedzenie. Czasami jakąś bułkę, innym razem ciasto. Była dobrym człowiekiem, chociaż pochodzenia niemieckiego. Wspominałam wtedy Stenię. Ciągle nie mogłam się pogodzić z tym, że Polka zachowywała się w ten, a nie inny sposób.

Oswobodzenie przyszło w kwietniu 1945 roku, gdy żołnierze amerykańscy wkroczyli na teren obozu. Czuliłam ogromną radość! Nie da się jej opisać, podobnie jak tego przerażenia, gdy przyjechałam do Auschwitz.

Po wyzwoleniu jeszcze długo mieszkałam w Niemczech. W Polsce nie miałam do czego wracać, a wyjechać do kraju też nie było łatwo. Zamieszkałam w Altenburgu u Niemki, która pracowała ze mną przy taśmie w fabryce amunicji. Po powrocie do Polski nadal utrzymywałam z nią kontakt listowny i tak pozostało do dziś.

Jestem jej bardzo wdzięczna. Nie tylko za to, że pozwoliła mi mieszkać u siebie w domu po odzyskaniu wolności, ale przede wszystkim za dobre słowa i dodatkowe posiłki, jeszcze w fabryce. A tak naprawdę za dobre serce. Jej dobroć dała mi wiarę w to, że istnieją jeszcze porządni ludzie.

Wspominając Polkę Stenię i Niemkę z fabryki, stwierdzam dziś, że politycy naprawdę mogą mylić. Nie wolno oceniać ludzi, nie znając ich lub biorąc pod uwagę tylko narodowość czy wygląd. Może się okazać, że dobro jest tam, gdzie najmniej się go spodziewamy. II wojna światowa pokazała natomiast, do czego prowadzi dzielenie ludzi.

Seweryna Podbiol,
1947, lata
powojenne.
Fot. Archiwum
rodziny



Po powrocie do Polski pojechałam od razu do mojej siostry do Tarnowa. Jej mąż zginął w Katyniu. Gdy weszłam do kamienicy, w której mieszkała, male dziewczynki bawiące się na korytarzu wołały do siebie:

– Patrz! To ta siostra z grobu!

Widocznie wszyscy już myśleli, że umarłam. Moja siostra była zdziwiona, ale i szczęśliwa, gdy mnie zobaczyła.

Napisałam też list do matki Jerzego. Mojego chłopaka sprzed aresztowania. Opisałam swoją historię, to, że mama nie żyje i że oprócz siostry nie mam już nikogo. Pani Joanna skontaktowała się ze swoim synem, który wówczas był w Anglii – wcześniej służył w wojsku.



Seweryna Podbiol z mężem. Ślubu udzielał znajomy ksiądz, który był więźniem obozu w Dachau, 1947 rok. Fot. Archiwum rodzinne

Seweryna Podbiół,
lata powojenne.
Fot. Archiwum rodzinne



Kiedy wrócił, przyjechał po mnie i zabrał do Podlesia koło Katowic, gdzie mieszkała jego matka. W czerwcu 1947 roku pobraliśmy się.

Urodziłam dwie piękne córki. Starsza przyszła na świat z upośledzeniem umysłowym. Uważam, że jej choroba to „pamiętka” po Auschwitz. W końcu głód, ziąb i wycieńczenie odbiły się na moim zdrowiu.

Mój mąż był wspaniałym człowiekiem, troskliwym i opiekuńczym. Rodzina wynagrodziła mi tragedię, jaką przeżyłam w obozie.

Czasy się zmieniają, a my wraz z nimi

W czasach mojej młodości świat był zupełnie inny.

Gdy wybuchła wojna, miałam szesnaście lat. Czuło się rodzinną, przyjazną atmosferę, szczególnie tu, na Śląsku. Ludzie byli nastawieni na wzajemną pomoc. Pamiętam, że tamte chwile w Chorzowie, gdzie urodziłam się



Seweryna Podbiół obecnie. Fot. Archiwum rodzinne

i mieszkałam aż do aresztowania w Żywcu, były naprawdę piękne i wypełnione ludzką dobrocią.

Dziś niestety widzę w ludziach wiele egoizmu, cechującego kiedyś osadzonych w obozie w Auschwitz-Birkenau. Z tym że oni walczyli o przetrwanie. O życie, każdego dnia zagrożone przez esesmanów.

Dziś świat pędzi, ciągle gdzieś gna, gubiąc to, co ważne – miłość, radość z prostych rzeczy. Czy aby ludzie nie są więźniami XXI wieku, owładniętego przez pieniądza? Może warto się zatrzymać na chwilę i zastanowić, co dobrego mogą zrobić dla kogoś innego?

Nr obozowy: 79875

ŁUCJA JANOSZ z domu **Otręba (Otremba)**

Urodzona: 4 lipca 1926 roku w Suszcu

Data wywózki do Auschwitz: wrzesień 1943 roku

Obozy i podobozы koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau, Ravensbrück, Eberswalde

Zostaliśmy ustawieni pod murem. Skierowane w naszą stronę karabiny wzbudzały strach. Śmierć wydawała się nieunikniona.

ŁUCJA JANOSZ

Oddana rodzinie i Ojczyźnie

Pochodziła z wielodzietnej rodziny, zaangażowanej w pomoc partyzantom. Organizowali żywność, amunicję, przynosili tajne wiadomości i rozkazy. Do dziś nie wyjaśniono, w jakich okolicznościach zginął jej brat Franek. Do obozu trafiła z ojcem, braćmi i siostrą. Wiedziała, że rodzina i Ojczyzna to najważniejsze, co trzeba chronić. Torturowana, nigdy nikogo nie wydała.



Łucja Otręba z rodzicami i rodzeństwem przed leśniczówką. Z tyłu las, w którym swój obóz mieli harcerze. Fot. Archiwum rodzinne

Niemcy już tutaj są

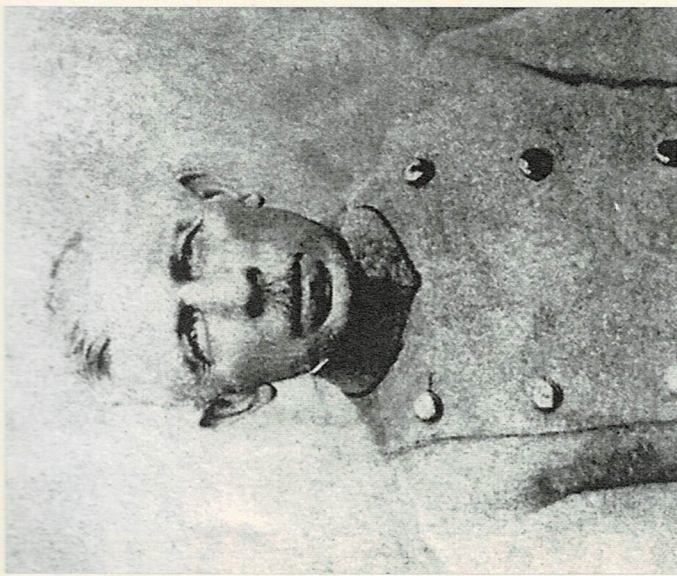
Do malowniczej Woli przeprowadziliśmy się, gdy miałam siedem lat. Rodzice mieli tam leśniczówkę, co nie było dziwne, bo ojciec Paweł Otręba pracował w nadleśnictwie. Mama Agnieszka zajmowała się domem. Byliśmy dużym, jedenastoosobową rodziną. Ja wraz z siostrami zajmowałam się sprzątaniami i gotowaniem, natomiast bracia pomagali w gospodarstwie i przy wypasaniu bydła. Byliśmy pilnymi uczniami, angażującymi się w różnorodne działania społeczne i religijne, ponieważ rodzice wychowywali nas na ambitnych i wierzących ludzi. Mój brat Franek był dodatkowo uzdolniony muzycznie, pięknie grał na trąbce, akordeonie i skrzypcach, niejednokrotnie umilając nam rodzinne wieczory i święta.

Nieopodal naszego domu znajdował się dębowy las, gdzie na obozy zjeżdżali się harcerze. Każdego poranka i wieczoru przychodzili, aby się umyć lub zaczerpnąć wody ze studni. Wieczorami organizowane były wówczas zabawy i przedstawienia przy ognisku, na które schodzili się sąsiedzi, a nawet proboszcz. Ten wspólny czas przed 1939 rokiem był radosny i bez troski.



Ojciec Lucji przed wyjazdem na pielgrzymkę do Rzymu, Kraków, 1934 rok.
Fot. Archiwum rodzinne

Paweł Otręba, ojciec Lucji, w mundurze Policji Państwowej, a od 1937 roku w mundurze Policji Państwowej Lasów Państwowych.
Fot. Archiwum rodzinne



O tym, że wybuchła wojna, dowiedzieliśmy się od mamy. Słuchała własnie radia na kryształki²⁷, gdy nagle zawołała:

– Niemcy już tutaj są!

Wybuch wojny spowodował, że w obronie Pszczyny tata wraz z bratem Pawłem i powstańcami poszli na front.

Pod „Trzema dębami”

Pragnę wspomnieć o tym, jak ojciec z Pawłem czym prędzej wyjechali z domu na jednym rowerze, trzymając w rękę broń. To był straszny widok! Nie wiedziałam wtedy, czy ich jeszcze zobaczę! Ojciec spalił wcześniej na podwórku jakieś dokumenty. Z tułaczki, gdy zakończyły się pierwsze fale ataków, wrócił dopiero w połowie października 1939 roku. Tymczasem Niemcy przychodzili do nas do domu i robili rewizję. Chcieli aresztować przede

²⁷ Detektory kryształkowe pojawiły się na początku XX w. i były w powszechnym użyciu we wczesnych latach 20. Spotykane były aż do wojny, a sporadycznie później, w najprostszych i najtańszych radioodbiornikach.

wszystkim tatę – jako jednego z powstańców, aktywnego działacza w obronie Polski. Pamiętam, że żandarmeria niemiecka ukradkiem przychodząca nocą pod nasz dom i czatowała na niego. Kilka nocy z rzędu mama zauważyła tłące się w oddali naszego podwórka papierosy. Wiedziała, że Niemcy liczą, iż w ten sposób złapią ojca – sądzili, że nocą wraca do domu.

Tata znalazł się na liście siedemnastu powstańców, którzy wkrótce mieli zostać wywiezieni do Pszczyny i rozstrzelani pod „Trzema dębami”²⁸. Nie wówczas się udało, ale po niespełna dwóch latach miało go spotkać podobnie okrutne przeznaczenie.

Losy naszej rodziny od momentu wybuchu wojny bardzo się skomplikowały. Przesiedlali nas z jednego miejsca do kolejnego. Z Woli wypędzili nas do Międzyrzecza, a później, w 1941 roku, do Studzionki. Za każdym razem ograbiając nasze gospodarstwo. Straciliśmy bydło, ule, budynki go spodarcze. Aż wreszcie siebie. Gdy nowi mieszkańcy wypędzali nas z naszego domu, potrafili szczuć nas psami!

Podczas okupacji moja rodzina była wielokrotnie szykanowana za polskie przekonania. Za to, że chcieliśmy być sobą. Jako ludzie, jako naród.

Jestem Polakiem

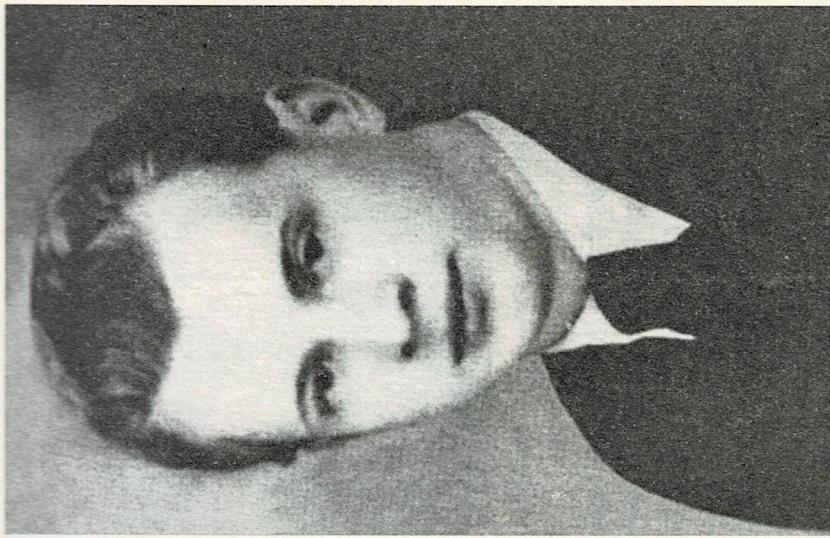
W 1940 roku brat Franek został wezwany do niemieckiego wojska. Honor jednak nie pozwolił mu na podporządkowanie się wrogom.

– Jestem Polakiem i nie będę służył Niemcom – oznajmił. Za nim wystąpiło kilku jego kolegów. Od tej pory był ścigany za sabotaż i musiał się ukrywać. Miał kryjówki w ościennych wioskach, czasami ukrywał się u nas. Niedługo później do domu wpadła niemiecka żandarmeria, wydzierając się:

– Gdzie jest ten bandyta, co zbuntował całą wieś?!

²⁸ „Trzy dęby” to miejsce powstałe w Parku Zamkowym po wysuszeniu największego parkowego stawu, na środku którego znajdowała się wyspa z trzema dębami. Po zakończeniu I wojny światowej nierozstrzygnięte losy Górnego Śląska stanowiły przyczynę do powstania ruchów konspiracyjnych walczących o przyłączenie terenów do Polski. Symboliczne, ustrojne „Trzy dęby” stały się miejscem konspiracyjnych spotkań i składania przysięgi przez powstańców. W wyniku zdrady akcje zostały ujawnione, skutkiem czego aresztowano członków śląskiej organizacji POW i osadzono ich w prowizorycznym więzieniu na zamku pszczyńskim. Powstańców i harcerzy rozstrzelano 4 września 1939 r. w Parku Zamkowym. Po zakończeniu II wojny światowej ich ciała uroczystie przeniesiono w miejsce obecnego spoczynku. W 1952 r. „Trzy dęby” zyskały rangę cmentarza wojennego.

Brat Lucji, Franciszek Otręba,
1943 rok. Fot. Archiwum
rodziny



Niemcy mieli ze sobą nakaz aresztowania, ale na szczęście nie zastali wtedy brata. Gdyby był obecny, jego los już w tamtym momencie byłby przedziwny. Na furgonetce, którą przyjechali pod nasz dom gestapowcy, siedzieli między innymi koledy Franka: Niesyto, Norek, Skroboń, Mamok. Część z nich zginęła w obozach zagłady.

Brat tymczasem organizował ZWZ²⁹, gromadził amunicję, tworzył system piątkowy³⁰ w Woli oraz okolicy, aż wreszcie stał się komendantem oddziału partyzanckiego w Pszczynie.

²⁹ ZWZ – Związek Walki Zbrojnej. Siły Zbrojne w Kraju podczas II wojny światowej w okresie od 13 listopada 1939 roku do 14 lutego 1942 roku, następnie przemianowane na Armię Krajową.
³⁰ System polegał na tym, że każdy z członków najpierw utworzonej piątki, mającej charakter kwateronicy, organizował własną czteroosobową grupę (1+4=5). Następnie tworzone kolejne „piątki”, zwiększając w ten sposób stan liczbowy organizacji. W początkowej fazie trzy piątki plus dowódca drużyny i jego zastępca tworzyło 17 osób, czyli tyle, ile liczy organizacyjna drużyna w Wojsku Polskim.

Ojciec Lucji oraz
bracia Stas
i Ryszard przed
aresztowaniem
rodziny, 1943 rok
Fot. Archiwum
rodzinne



Partyzantka mocno uderzała w okupanta. Mężczyźni działający w obro nie naszego kraju napadali na pociągi i urzędy, kradnąc kartki żywnościowe. Nasza rodzina miała za zadanie rozdawać je polskiemu rodzinom, które zostały pozbawione środków do życia. Wszyscy zaangażowaliśmy się w pomoc partyzantom. Organizowaliśmy jedzenie, amunicję, przynosiliśmy tajne wiadomości i rozkazy. Pamiętam, że moja siostra Marysia, mająca wówczas czternaście lat, przewoziła na trasie liczącej około dwudziestu pięciu kilometrów karabiny przymocowane na przykład do rurki w męskim rowerze lub do grabi.

W domu przechowywaliśmy też rosyjskiego jeńca wojennego, oficera Armii Radzieckiej, który uciekł z okolic Berlina. Nazywał się Gregory Komorow, nazywaliśmy go Griszą. Chciał wstąpić do partyzantki.

– Chleba! – poprosił, gdy przyszedł do nas po raz pierwszy. Mama zlitowała się nad nim. Ojcu nie podobał się ten pomysł. Bał się, że to ściągnie na nas kłopoty. Mimo ostrzeżeń mama ukrywała Rosjanina w szopie, a Franek zaopatrzył go w broń. Brat nas czasem odwiedzał, informując, że żyje i nic mu nie jest. Mielśmy z nim umówiony znak: butelka na płocie oznaczała, że jest bezpiecznie, jeśli jej nie było – nie mógł się zbliżyć do domu z uwagi na rewizję lub czyhających w pobliżu gestapowców. Tymczasem w okolicznych miejscowościach na Górnym Śląsku Niemcy wywiesili afisze obiecujące nagrodę w wysokości dwudziestu tysięcy marek za wskazanie miejsca ukrywania się Franciszka.

Dwudziestego trzeciego września 1943 roku nasze i tak niestabilne już życie zamieniło się w koszmar.

Tego dnia Grisza został postrzelony w lesie przez Niemca Ferdynanda Boryę. Szyra natychmiast poinformował gestapowców o tym, co się stało. Graba, chcąc uniknąć tortur i aby nam nie zaszkodzić, strzelił sobie w głowę. Przeczesując las, Niemcy znaleźli jego zwłoki. Przynieśli je do domu i prze-duchiwali nas. Ojca wtedy nie było, przebywał na robotach przy kopaniu rowów w Paprocanach i wracał co kilka tygodni.

Jeden z mężczyzn zmusił mnie, abym obmyła trupowi twarz wodą. Pytał, czy rozpoznajemy ciało. Przesłuchanie nie ominęło nawet mojego najmłodszego rodzeństwa, ale żadne z nas nie pisnęło słowa. Niestety w szopie, w której ukrywaliśmy Griszę, gestapowcy znaleźli kurtkę z numerami jeńca. Wydało się.

Zostaliśmy ustawieni pod murem. Skierowane w naszą stronę karabiny wzbudzały strach. Śmierć wydawała się nieunikniona. Mama nieustannie modliła się do Matki Bożej, polecając nas Jej opiece. Gestapowcy chcieli, abyśmy się przyznali do znajomości z jeńcem i potwierdzili, że mu pomagaliśmy. Ale nawet kuszeni cukierkami, najmłodszy Stasiu i Ryszard nie wydali naszej rodziny. Z nerwów, że nic nie może wskórać, gestapowiec uderzył Ryszarda elementarzem tak mocno w głowę, że pękła mu wewnętrzna błona jednego ucha i do dziś na nie nie słyszy. Staliśmy pod ścianą całe popołudnie. Byliśmy bici i kopani. Po tych właśnie wydarzeniach aresztowano mnie, mamę i brata Józefa.

Moją trzynastoletnią siostrę Klarę oraz braci Ryszarda i Stanisława, mających odpowiednio jedenaście i siedem lat, Niemcy wypędzili do Mizerowa, do starego domu ze spaloną stajnią. W jaki sposób tak małe dzieci miały sobie poradzić same? A jednak musiały. Ojciec nie wiedział nawet, że jego najbliższych spotkała taka tragedia.

Siostra partyzanta

Mnie, mamę i Józefa przewieziono najpierw do aresztu w Pszczynie, a potem do Auschwitz.

W obozie trafiłam do bloku 11, zwanego przez więźniów Blokiem Śmierci. Mieścił się w nim obozowy sąd doraźny³¹.

– To ty jesteś siostrą tego partyzanta! – wrzasnął esesman, gdy podałam swoje nazwisko podczas spisywania personaliów.

³¹ W piwnicach bloku 11 mieścił się obozowy areszt, a na zamkniętym dziedzińcu przeprowadzano egzekucje przez rozstrzelanie (przy tzw. Ścianie Śmierci).

Wkrótce ponownie przewieziono mnie do Pszczyny. Była wyspa. Ktoś wydał partyzantów mieszkających w Baranowicach u Zielonki, gdzie mieli bunkry, i mojego brata. Wszyscy zostali aresztowani. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, ale Franka pierwszego zabrano do KL Auschwitz, potem do obozu trafili kolejni. Niemcy przekonywali, że wywożą ich w Beskidy. W akcji zostało również aresztowanych około stu trzydziestu osób za pomoc partyzantom i ukrywanie ich.

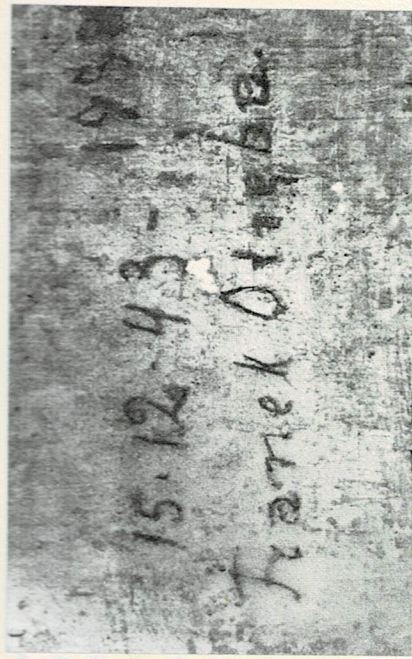
W areszcie w Pszczynie podeszło do mnie trzech gestapowców.

– Nie chciałaś wydać braciuszka, nie chciałaś! Będziecie teraz wszyscy nogami do góry wisieć – powiedział jeden z nich. Rozplakałam się na te słowa. Na przesłuchaniach katowano mnie, konfrontowano z partyzantami, którzy zostali aresztowani. 7 lutego, w urodziny taty, ponownie przetransportowano mnie i Józefa, a także ojca i siostrę Walerię, do KL Auschwitz I, gdzie raz jeszcze trafiłam na Blok Śmierci. Pamiętam, że bramę otwieraliśmy nam więźniarki karzeł.

Moją mamę zostawili w Pszczynie, a później trafiła do Gliwic. Ostatni raz widziałam ją w więzieniu, gdy przyszła do mnie pod celę z wiadomością, że wywożą nas ponownie do Oświęcimia. Straciłam z nią wówczas kontakt.

Wiedziałam, że w obozie nie może mnie spotkać nic dobrego. W bloku 11, gdzie urzędował policyjny sąd doraźny i gdzie ważyły się moje losy, ponownie spisano moje personalia. Nie wiedziałam, co będzie dalej. Blok Śmierci był miejscem, z którego niewielu wyszło żywych. Na parterze w jednej z sal po prawej stronie umieszczono mnie razem z około osiemdziesięcioma kobietami. Będąc tam, starałam się dowiedzieć, czy w „jedynastce” znajdują się także mój brat i ojciec, a także mąż siostry Walerii. Dużo w tej kwestii pomagali mi więźniowie: Wiktor Sobik z Czechowic, odpowiadający za utrzymanie czystości w bloku, a także fryzjer Maks i funkcyjny Jakub. Mieli większe możliwości kontaktu z innymi więźniami niż my, więźniarki w celi. Byli dobrymi ludźmi i wiele razy pomagali mi i innym kobietom przemycać dla mężczyzny jedzenie i grypsy. To oni poinformowali mnie, że Franek i pozostali partyzanci znajdują się w bunkrze bloku 11.

Potajemnie nawiązałam kontakt z partyzantami. Było to możliwe, ponieważ więźniowie z bunkra wychodzili jeszcze przed esesmanami, żeby opróżnić kubły z fekaliami. Mogli wówczas podejść pod okno naszej celi. Razem z innymi kobietami z celi podawałam im czasami coś do jedzenia. Dowiedziałam się wtedy od nich, że konfidentami, którzy wydali partyzantów i zdradzili kryjówkę mojego brata oraz naszego szwagra, byli Figołuszka ze wsi Kobiór i Gębołyśa z Jankowic.



Wnętrze
bunkra w Bloku
Śmierci w Auschwitz I,
zapisany przez brata
Franka.
Źródło: Archiwum
rodziny

W Bloku Śmierci w trakcie przesłuchań Franek był torturowany i okrutnie bity przez Niemców za to, że zastrzelił gestapowca Bechingera. Zrobił to w obronie własnej, inaczej by zginął. Przez okno widziałam czasem jego postać z przemykaną twarzą. Po wojnie Albin Świerkot, jeden z partyzantów, któremu udało się przeżyć, opowiadał, jak katowany był mój brat. Z trudem słuchało się opowieści o cierpieniu bliskiej osoby.

Raz Franek próbował zbiec z obozowych bunkrów. Nie mógł wiedzieć, że z tego miejsca nie da się uciec! Sześciu więźniów, w tym mój brat, a także ksiądz z Bierunia, wyważyło drzwi celi numer 23, w której przebywali. Choć więźniowie mogli wyjść z pomieszczenia, akcją skończyła się niepowodzeniem. Esesmani narobili rumoru i szybko złapali uciekinierów.

Nie wiedząc nic o działaniach Franka, tego dnia słyszałam jęki i wrzaski dobiegające aż do sali, w której przebywałam. Przeróżające krzyki świadczyły o tym, że ktoś bardzo cierpi. Nie mogłam wówczas wiedzieć, że wśród tych katowanych mężczyźn jest również mój brat, jeden z prowadzących ucieczki. Od tego momentu nie mogłam go już widywać przez okno, bo nie wychodził, jak wcześniej, na dziedziniec. Widziałam jednak, jak prowadzono go wraz z innymi więźniami na codzienne przesłuchania. Szedł między blokami 10 i 11, esesmani szczerliwie psy na mężczyzn i kazali im wykonywać uciążliwe ćwiczenia, jak skoki, żabki, niedźwiedzia, jako część kary. Były to bardzo trudne fizycznie zadania. Tym cięższe dla osób głodnych, bez siły czy skatowanych.

Nie da się opisać cierpienia, które mną targało, gdy widziałam, jak traktowany jest Franciszek. Jedną z najbliższych mi osób.

W grypsach, które później od niego dostawałam, pisał, że z tortur wracał pobity, ale zawsze z podniesioną głową. Pisał też, że chciał odebrać sobie

życie, bo nie mógł znieść bólu, jednak wiedział, że nie może tego zrobić „Myślałam, że żywcem będą ze mnie pasy skóry zdzierać. Ale jeszcze mogły być to dla mnie bohatera śmierć”.

Pękało mi serce na myśl o jego bólu, ale jednocześnie czułam dumę z jego honoru i dumy jako Polaka! Najbardziej katował go sam Figotuszk, konfident, o czym także dowiedziałam się z grypsu. Wtedy przypomniałam sobie tego mężczyznę... Jeszcze w Pszczynie, podczas konfrontacji z Frankiem w areszcie, tak mocno mnie kopnął, że straciłam przytomność.

Brat był więziony w ciemnej celi, podejrzewam, że został skierowany do stójki³². Pamiętam, że pobiegłam tam raz i wsadziłam w szparę w ścianie gryps. Dopiero później pomyślałam o tym, że przecież w celi jest ciemno i Franek i tak nie mógłby nic przeczytać. Może ta wiadomość jest tam do dzisiaj?

„Uciekłem!”

Za działania, jakich się podejmował w ruchu oporu, i próbę ucieczki z bunkra bloku II Franciszek został skazany na śmierć. Rozwieszono w Pszczynie afisze, że egzekucja ma odbyć się w Dąbrowie Górniczej 27 lipca 1944 roku. Ten właśnie afisz czytała, będąc poza obozem, moja siostra Klara.

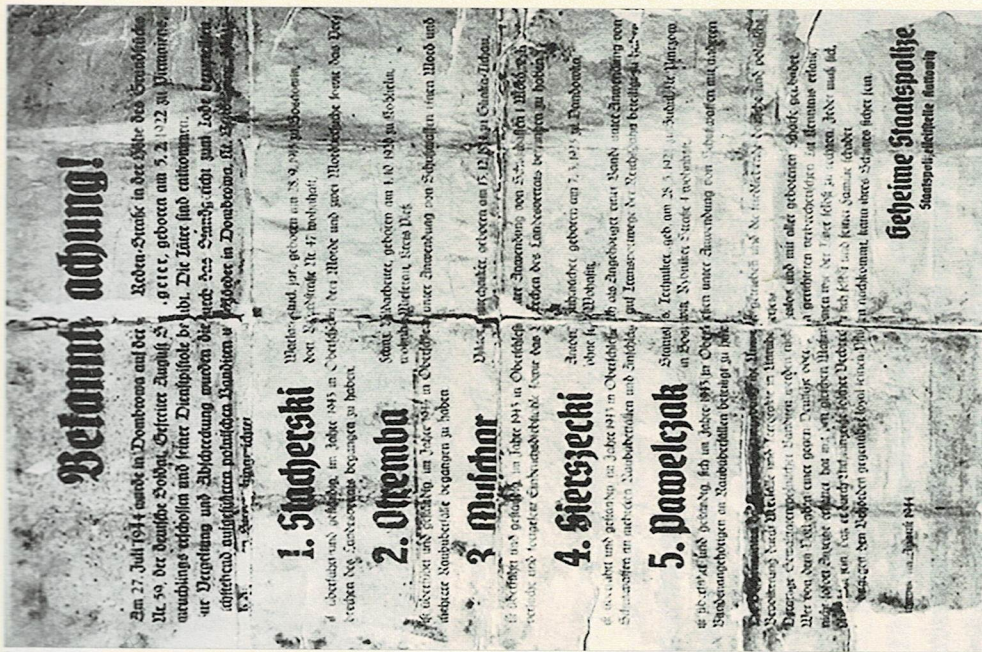
Ubraną w czarną sukienkę na znak żałoby Klarę zdziwione koleżanki poinformowały, że widziały inny afisz, z którego wynikało, że mój brat Franek razem z innymi partyzantami wciąż był poszukiwany! Za jego znalezienie lub wydanie wyznaczona była nagroda. Wynikało z tego, że musiał uciec! Z opowiadań mojej siostry Marysi, która przez cały ten czas zatrudniona była w Bojszowicach w gospodzie należącej do Niemca, wiem, że pewnej nocy ktoś zapukał do okna tego budynku.

– Marysia! Udało mi się uciec! – szeptem powiedział ten ktoś. Siostra poznała po głosie. To był Franek! Wtem do pomieszczenia wbiegła Niemka, właścicielka gospody, i dopytywała, z kim moja siostra rozmawia. Marysia więcej nie usłyszała ani nie zobaczyła Franciszka.

Po latach na jednej z rozpraw sądowych dowiedzieliśmy się, że z domu Grzechnika – konfidenta, jak się później okazało – niedługo po tajemniczym „spotkaniu” mojego brata z siostrą mężczyźni wynieśli zwłoki dwóch mężczyzn w zakrwawionym prześcieradle.

³² Stójki, niem. *Stehzellen* – cele do stania (o rozmiarach 90x90 cm), w których dla odbycia kary osadzano po czterech więźniów.

Ważne informacje
 Egzekucji 27 lipca
 1944 roku w Dąbrowie
 Górniczej, w której
 wziął udział brat Lucji,
 Franek. Afisz zerwała
 moja siostra Klara.
 Fot. Archiwum
 rodzinne



– To były zabite świnię – tłumaczył Grzechnik. Na co świadek odpowiedział mu:
 – To znaczy, że te świnię miały buty.

Brat prawdopodobnie udał się z prośbą o pomoc do Grzechnika, nie wiedząc, że ten go wyda. Jak było jednak naprawdę? Nie wiemy. Tajemnica do dziś nie została rozwikłana. Kilka lat temu w jednej z lokalnych gazet ukazał się nawet artykuł na ten temat z prośbą, by ten, kto wie coś o egzekucji, która się nie odbyła, zgłosił się i pomógł wyjaśnić, co się wtedy naprawdę stało.

Po latach moja mama zwierzyła się, że napisała list do Grzechnika, chcąc zmusić go do przyznania się do zbrodni. Chciała, aby oświadczył, że

tamtej nocy zabił albo wydał gestapowcom Franka. Nigdy jej nie odpowiadział. Ale niedługo po tym liście strzelił sobie w głowę. Czy to nie dowód, że miał coś na sumieniu?

Gdy przebywałam na Bloku Śmierci, bardzo często śniło mi się, że widzę tatę i moich braci i że esesmani prowadzą nas na śmierć.

15 kwietnia 1944 roku na komendę „*Achtung!*” wywołano z sali w bloku 11 moją siostrę Walerię. Musiałyśmy się pożegnać, przeczując, że więcej się nie zobaczymy. Bałam się, że prowadzą ją na śmierć do komory gazowej. Nie wiedziałam przez blisko miesiąc, co się z nią stało, czy żyje.

Wreszcie i ja po wielu sądach doraźnych, przesłuchaniach, torturach zostałam przeniesiona. 29 maja 1944 roku wyprowadzono mnie do Birkenau. Nie wiedziałam, co oznaczają te zmiany i dokąd jestem prowadzona. Czy na śmierć?

Warszawa się pali!

Stałam pod bramą, na której widniał napis „*Arbeit macht frei*”, wystraszona i niepewna swojego losu. Nagle podszedł więzień Sobik i uprosił esesmana, który mnie pilnował, by mógł mi przekazać stoik smalcu. Nie ukrywam, że po tylu tygodniach głodowania był to dar, który cieszył. Choć idąc przez obóz, widziałam krematorium i byłam pewna, że prowadzą mnie do komory.

Myliliłam się. Zaprowadzili mnie pod saunę. Musiałam czekać tam całą noc, ponieważ biuro oddziału politycznego, mieszczące się tuż obok, było już zamknięte i nie mogli mnie przyjąć do ewidencji obozowej. Nie ma chyba nic gorszego niż czekanie w niepewności. Przecież nie wiedziałam, na co czekam!

Rano spotkała mnie nieoczekiwana radość! Przybiegła do mnie Walerka! Popłakaliśmy się z radości, choć przyznam, że na początku w ogóle jej nie poznałam. Zmieniła się. Była bardzo szczupła, blada, a zmęczona twarz wskazywała na przepracowanie i niedożywienie. Martwiłam się o nią.

Chwilę później musiałam udać się do sauny, gdzie odbyła się kąpiel. Do wnętrza budynku wpuszczaly mnie Żydówki. Potem skierowano mnie do biura, gdzie dostałam pasiaka, chustkę na głowę i nadano mi numer. Po kilku dniach wyprowadzono mnie razem z innymi kobietami – było nas około piętnastu – do Auschwitz I na zrobienie zdjęć w trzech pozycjach. Na tamten moment przeniesienie mnie do Brzezinki nie zwiastowało śmierci. Zostałam skierowana do pracy. Stałam się siłą roboczą dla Niemców.



Alfide Lucji wykonane w obozie, wrzesień 1943 roku. Fot. Archiwum rodzinne

Do wybuchu Powstania Warszawskiego przebywałam na odcinku Bła. Kobiety, które między sierpniem a październikiem 1944 roku przejeżdżały w kolejnych transportach z Warszawy, wołały:

– Warszawa się pali!

Nie wiedziałyśmy, czy coś się zmieni. Nie brzmiało to jednak optymistycznie.

W sierpniu 1944 roku razem z moją siostrą Walerią zostałam przewieziona do KL Ravensbrück, a niedługo potem do Eberswalde. Tam dotarłam jednak sama, gdyż Waleria trafiła do Buchenwaldu.

W KL Eberswalde zmuszano nas do pracy ponad siły w fabrykach zbrojeniowych. Znany mi dotąd z Auschwitz-Birkenau głód był niczym w porównaniu z głodowaniem, jakie przeżyłam w Eberswaldzie. Pamiętam, że będąc w tym obozie, znalazłam raz małego ziemniaczka... Pokroiliam go w plasterki i położyłam na chlebie. Tak bardzo mi smakował!

Wreszcie każda z więźniarek otrzymała kartki z dziennym przydziałem jedzenia. Pewnego dnia jedna z kobiet ukradła moje kartki i przez to nie mogłam jeść przez kilka dni. Gdy wydawało mi się, że dłużej już nie wytrzymam, urwałam trochę trawy i poprosiłam koleżankę, która miała dostęp do pieca, aby ugotowała mi ją na wodzie. Zjadłam tę trawiastą zupę, bo nie miałam innego wyboru. Nie trwało to wszystko jednak długo, bo zbliżał się front i znów przewieziono nas do Ravensbrück. Było to pod koniec kwietnia 1945 roku.

Na miejsce dotarliśmy nocą. Do baraku, w którym nas umieszczono, przyszła esesmanka i kazała nam zrywać numerki z ubrań. Na ziemi

siedzieli Żydzi. Przerazające było to, co powiedzieli. Wobec tego, że Niemcy planowali nas gdzieś zabrać, a nie pozwolili zatrzymać niczego, ani korb ani misek, Żydzi uznali, że teraz nas zabiją.

– Wicie, dokąd idziemy? Do nieba – powiedział jeden z nich.
Gdy o tym myśle, wciąż przesywa mnie dreszcz.

Pod bramę obozową, gdzie dostaliśmy porcję jedzenia – jakies konfitury, paczki z żywnością – zaprowadzono nas niedługo po rozmowie z Żydami. Zaraz później miałyśmy jechać, ściśnięte niemożebnie w wagonach, do Szwecji. Nie wiedziałyśmy, dokąd nas wiozą. Było nas ponad sześć tysięcy kobiet. Jechałyśmy same przez wiele dni. Sądzę, że podróż trwała około tygodnia. Nie było z nami już żadnego esesmana. Tylko my i mężczyzna prowadzący pociąg. Miałyśmy trochę jedzenia z paczek otrzymanych przy bramie w Ravensbrück, ale ani kropli wody. Gdy pociąg zatrzymywał się z powodu licznych bombardowań, niektóre kobiety wyskakiwały górą wagonów węglowych, by złapać choć kilka kropel wody skraplającej się z parą przy lokomotywie.

Czasami pociąg jechał tak wolno, że człowiek śmiało by go dogonił, idąc pieszo. Pamiętam, że podczas jednego z postojów pod wagon przyszedł jakiś Niemiec i pytał nas, czy mamy chleb!

Po dotarciu do Szwecji zostałyśmy skierowane na różnorodne badania. Polski Czerwony Krzyż wysłał mnie do szpitala, byłam leczona nie tylko z powodu niedożywienia, ale także typowych dla obozowych warunków chorób i dolegliwości. Miałam liczne bolesne owróżdzenia na całym ciele. Pamiętam, że jeszcze w Danii, gdy wychodziłyśmy z wagonów, ludzie na nas widok płakali. Tak byliśmy wychudzone i wycieńczone.

Wolna z dala od domu

Pomimo odzyskanej wolności tęsknota za domem i rodziną nie dawała poczucia komfortu i nie pozwalała w pełni cieszyć się z zakończenia wojny. Dlatego jak tylko w szpitalu podleczyli mnie na tyle, że odzyskałam siły fizyczne, bo emocjonalnie dochodziłam do siebie przez wiele lat, zgłosiłam się jako jedna z pierwszych z prośbą o powrót do ojczyzny. Pozostałe dziewczyny pozostawały nadal pod opieką lekarza lub musiały czekać na kolejne transporty.

Pewnego razu przyjechał do nas katolicki ksiądz. W budynku, w którym mieszkaliśmy, zrobiliśmy na korytarzu ołtarz. Poprosiliśmy o spowiedź. Później inne kobiety dziwiły się:

Z czego wy się spowiadałyście?!

A my chciałyśmy wyznać obozowe grzechy: gdy ktoś ukradł mi chleb, ukradłam komuś innemu; gdy ktoś ukradł mi bieliznę, ja ukradłam komuś innemu... Każdy z nas walczył o przetrwanie, co nie zmieniało faktu, że te rzeczy były na sumieniu.

Promem popłynęłam prosto do Gdyni, gdzie dostałam przepustkę pozwalającą mi bezpłatnie dojechać do domu. Do Pszczyny dotarłam 2 listopada 1945 roku. Nie miałam żadnych informacji o losie mojej rodziny. Na statku wreszcie na dziewczynę, którą pamiętałam ze szkoły, sprzed wojny, czekała się Krzysieczko. Zapytałam, czy wie, gdzie jest moja mama i czy może wróciła z obozu. Ku mojemu zaskoczeniu dziewczyna u niej mieszkała! Od razu mnie do niej zaprowadziła.

Pamiętam, że mama wtedy krociła kapusę... Gdy mnie zobaczyła, była taka szczęśliwa!

Po jakimś czasie od powrotu udałam się do urzędu pracy. Chciałam zacząć zarabiać i pomóc rodzinie finansowo pozbierać się po wojennych dramatach. Po wojnie zostaliśmy pozostawieni bez podstawowych środków do życia. Musieliśmy wszystko zaczynać od nowa. To, na co rodzice pracowali latami, zostało zagrabione przez Niemców. Piękna leśniczówka, bezrobocie dni przy ognisku z harcerzami, wieczory, gdy Franek przygrywał na akordeonie, stały się odległym wspomnieniem. Nie mogliśmy tego już odzyskać. Blizny, które pozostawiła w naszym życiu wojna, nie miały prawa się zagoić.

– Wróciłam z obozu – powiedziałam, gdy urzędniczka zaproponowała mi pracę fizyczną w PGR. – Czy nie ma dla mnie lepszego zajęcia?

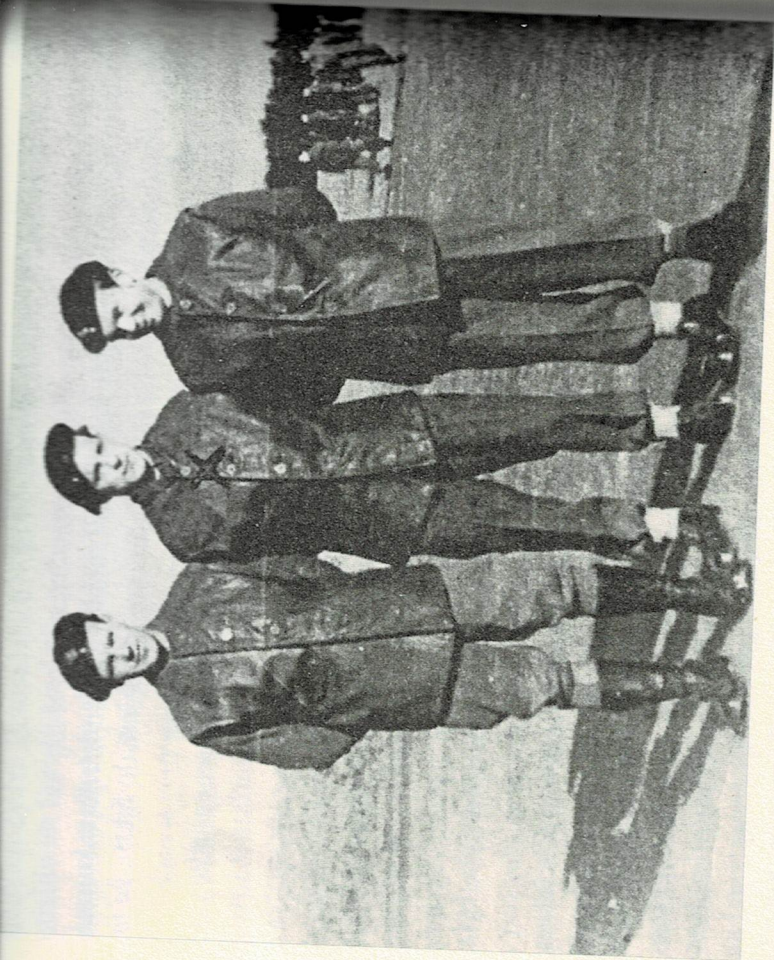
– Wy tam cierpiałyście, a my tu – odpowiedziała.

Cóż to za porównanie! Nie wątpię, że Polacy, którzy pozostali na „wolności”, cierpieli i tracili swoje dobytki. Nie byli jednak świadkami masowej zagłady w niemieckich obozach!

Z obozu powróciły moja mama oraz siostra Waleria. Ojciec i dwaj bracia, Franek i Józef, zginęli. Z dokumentów wynika, że Józef był przenoszony do KL Gross-Rosen, KL Sachsenhausen, później KL Ravensbrück, dalej KL Mittelbau.

Nie miałyśmy pojęcia, co stało się z ojcem po ewakuacji Auschwitz. Dopiero po wielu latach o jego pobycie w Melk, podobozie KL Mauthausen³³,

³³ KL Mauthausen-Gusen – zespół niemiecko-austriackich nazistowskich obozów koncentracyjnych usytuowany w pobliżu miejscowości Mauthausen.



Brat Lucji, Paweł (w środku), od 1943 roku służył w RAF-ie. Brał udział w wielu akcjach zbrojnych na terenach okupowanej Francji i Holandii. W trosce o bezpieczeństwo rodziny zmienił imię i nazwisko na Paul Ran. Fot. Archiwum rodzinne

poinformował nas Internationaler Suchdienst w Arolsen³⁴. Tata nigdy nie wrócił do domu. W dokumentach wpisano godzinę śmierci 21:10 oraz datę 16 marca 1945 roku, przyczyna: atak serca. Cóż, według papierów na rzekomy atak serca umierało w obozach wielu więźniów. To ogromny ból stracić

³⁴ Międzynarodowa Służba Poszukiwań (International Tracing Service – ITS) jest centrum dokumentacji losów ofiar reżimu narodowosocjalistycznego oraz ocalałych osób. Z ponad 30 mln dokumentów zgromadzonych w archiwum osoby przesładowane oraz ich potomkowie otrzymują od ITS informacje dotyczące doznanych represji: osadzenia w obozach, robót przymusowych, a także informacje zawarte w dokumentach powstałych po wojnie w ramach programu wsparcia ze strony aliantów. ITS upamiętnia ofiary Holokaustu i nazistowskich zbrodni oraz wnosi trwały wkład w kulturę pamięci. W 2013 r. oryginalne dokumenty archiwum zostały wpisane na Światową Listę Programu UNESCO „Pamięć Świata”.

tożsamość bliskiego, a tym większe poczucie niesprawiedliwości, gdy życie kończy się niemalże na wolności, po trudach wojny.

Mój brat Paweł, który był w Wojsku Polskim w Wielkiej Brytanii i walczył w RAF-ie, poznał piękną Irlandkę i postanowił zostać tam na stałe.

Szwagier Józef Niesyto zginął powieszony w Oldrzychowicach w Czechach z czterema innymi Polakami. Został tam postawiony pomnik upamiętniający egzekucję. Byłam z rodziną na jego odsłonięciu.

Przez wiele lat po wyzwoleniu borykałam się z powracającymi wspomnieniami, które mimo upływu czasu sprawiały taki sam ból.

13 listopada 1947 roku wyszłam za mąż za Franciszka Janosza i razem, aż do 1982 roku, prowadziłyśmy gospodarstwo rolne w Pszczynie. Przez pięćdziesiąt osiem lat udzielałam się społecznie, pragnąc pomóc potrzebującym ludziom, a także byłym więźniom KL Auschwitz-Birkenau. Wygłaszałam prelekcje w szkołach, na „drodze śmierci” i pod pomnikami, chcąc przekazać jak najwięcej informacji o tym, co spotkało nas w obozie. Uważałam i nadal uważam, że jest to wiedza, której nie wolno zapomnieć. Powinna być dla wszystkich przestrożą.

Za swoje działania społeczne otrzymałam wiele odznaczeń, między innymi Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski w 1979 roku, Krzyż Partyzancki w 1991 roku, Krzyż Oświęcimski w 1986 roku. A także Krzyż Armii Krajowej, Honorowy Krzyż Wojska Polskiego, Order Przelanej Krwi za Ojczyznę. Mam stopień porucznika.

nr obozowy: 86341

BARBARA DONIECKA z domu **Racka**

Urodzona: 15 marca 1934 roku w Warszawie

Data wywózki do **Auschwitz**: 12 sierpnia 1944 roku

Obozy koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau



Barbara Doniecka przekroczyła bramę obozu Auschwitz-Birkenau jako 10-letnia dziewczynka. Fot. Archiwum rodzinne

Matny Boskie, to Oświęcim.

BARBARA DONIECKA

Samotna wśród wielu samotnych

Do obozu trafiła jako dziesięcioletka razem z matką. Obie nie do końca były świadome tego, gdzie się znalazły i jaki los je czeka. Najgorsze dla Basi było oddzielenie od mamy i pozostanie całkiem samej. Była świadkiem śmierci pięcioletniej dziewczynki, z którą spała na jednej koi. Dziewczynka zmarła z rozpaczcy i tęsknoty za rodziną.

Urodziłam się w 1934 roku w Warszawie. Moja mama miała na imię Genia wafa, była dobrą kobietą i posiadała jedną charakterystyczną cechę – była bardzo niska. Tacie, Franciszkowi Rackiemu, sięgała do ramion. Gdy miałam dziesięć lat, byłam prawie jej wysokości. To bywało zabawne, szczególnie kiedy szliśmy obok siebie. Ludzie pytali zaczepnie, która z nas to córka a która to matka.

Kiedy mama była w ciąży, ojciec miał już trzydzieści cztery lata. Nie byli najmłodszymi rodzicami, za to bardzo pragnęli dziecka. Zaplanowali powiększenie rodziny, to nie był przypadek. Choć byłam oczekiwanym dzieckiem, jedynaczką, nie rozpieszczali mnie, bo w czasach, kiedy wojna wisiała na włosku, o udogodnieniach „wyższej klasy” nie było mowy. Życie, co



Zdjęcie ślubne rodziców Basi
Ślub odbył się w kościele
św. Jakuba przy
pl. Narutowicza
w Warszawie w 1933 roku.
Fot. Archiwum rodzinne

inne losy ukazują, też mnie nie rozpieszczano. Ale rodzice wychowywali mnie w dobrych warunkach i mogę powiedzieć, że jako dziecko żyło mi się, jak na tamte czasy, komfortowo. Niczego mi nie brakowało. Chodziłam do szkoły, miałam się w co ubrać, na wakacje jeździłam do ciotki do Falkowa koło Kielc. Miałam zatem dobre dzieciństwo, które wspominam jednak z jakimś ukłuciem w sercu. Dlaczego? Bo zostałam z niego brutalnie wyrwana w czasie Powstania Warszawskiego. Miałam wtedy tylko dziesięć lat.

Jeszcze w czerwcu zdążyłam pójść do Pierwszej Komunii Świętej. Ubrałam się w skromną, ale schludną białą sukienkę. Mieszkaliśmy z rodzicami na ulicy Kaliskiej 19 i to tam zastało nas powstanie.

Zostałyśmy tego dnia same z mamą, tata był w pracy. Kiedy nad Warszawą rozpoczęły się bombardowania, musieliśmy razem z mieszkańcami okolicznych budynków uciekać do piwnicy, by tam przeczekać stan zagrożenia. Nie pomógł fakt, że Ochołę na początku opanowali nasi chłopcy, ponieważ z powodu dotkliwego niemieckiego ostrzału bezpieczniej było przebywać tego dnia w piwnicy.

W kolejnych dniach powstania opiekowali się nami, dzięki czemu czuliśmy się pewniej. Byliśmy przekonani, że lada dzień wszystko się uspoko-



Basia w wieku 4 lat, Warszawa,
ul. Grójecka, 1938 rok.
Fot. Archiwum rodzinne

...zrobić w piwnicy, staraliśmy się stworzyć normalne, jak na zaistniałą sytuację, warunki. Kobiety w wielkich kotlach gotowały zupy, którymi posilali się także powstańcy. A chłopcy wprost z powstania przybiegali do nas i mówili, że wkrótce zwyciężą. Za Wisłą już stoi Armia Radziecka i gdy będziemy potrzebować pomocy, na pewno staną po naszej stronie! Jak historia pokazała, były to złudne nadzieje.

Strach wśród nas narastał z każdym dniem. Zaczynaliśmy przeczuwać, że dzieje się coś niedobrego. 8 sierpnia Niemcy pod karabinami wypędzili nas przed dom. Mama i ja wyszłyśmy w pośpiechu, tak jak stałyśmy. Tylko w ubraniu, które miałyśmy na sobie. Cenniejsze rzeczy schowane były w wszystkie w jakichś zakamarkach odzieży. Ze zgrozą wspominam te wszystkie rabunki, jakich dopuścili się niemieccy żołnierze!

Kiedy wszyscy mieszkańcy znaleźli się przed budynkiem, niemieccy oprawcy, wyposażeni w miotacze ognia, bez skrępowań zaczęli rzucać płomieniami, które zajmowały ściany, dach i wnętrza naszych domostw. Patrzyliśmy na dom, który wydawał się nam twierdzą nie do pokonania. To było okropne – widzieć, jak płonie miejsce, w którym spędziło się tyle spokojnych lat. Płonęła cała Warszawa, jeden budynek po drugim.



Basia z ciotką Marią
Łuszczzyńską przed
akademikiem na
ul. Grójeckiej w Warszawie,
1938 rok. Fot. Archiwum
rodzinne



Basia z mamą Genowefą Racką i tatą Franciszkiem Rackim u fotografa przy
ul. Grójeckiej w Warszawie, 1938 rok. Fot. Archiwum rodzinne

Basia z ciotką Marią
Luszczyńską i tatą
na ul. Marszałkowskiej
w Warszawie, 1943 rok.
Fot. Archiwum rodzinne



Wszyscy krzyczeli, kobiety, trzymając kurczowo w ramionach dzieci, płakały. Tak jak staliśmy, zaprowadzili nas na Zieleniak – targowisko przy ulicy Grójeckiej – i przetrzymali całą noc. Działy się tam straszne rzeczy. Siedzieliśmy przerażeni, skuleni, jeden bok drugiego. Tej nocy wyprawiono spośród nas wielu mężczyzn i pod murem jednego z budynków, który do dziś zresztą stoi przy ulicy Grójeckiej, na naszych oczach ich rozstrzelano. Nie mogłam patrzeć na te okrucieństwa. Jak wiele innych osób, odwracałam wzrok. Wśród rozstrzelanych rozpoznałam dozorcę naszej kamienicy, pana Franciszka.

Po spędzonej na Zieleniaku nocy znów nas pędzono, tym razem na Dworzec Zachodni, skąd pociągiem elektrycznym zostaliśmy przewiezieni do Pruszkowa. Zgromadzono wszystkich, kobiety, dzieci i mężczyzn, w wielkiej hali. I choć pomieszczenie było ogromne, panował niewyobrazalny ścisk i zaduch, tak wielu nas tam było. Spędziliśmy dwa dni bez jedzenia i picia.



Po lewej Basia z rodzicami, a po prawej z ciotką Marią Luszczyńską podczas Pierwszej Komunii Świętej. Uroczystość odbyła się w kościele św. Jakuba w czerwcu 1944 roku.
Fot. Archiwum rodzinne

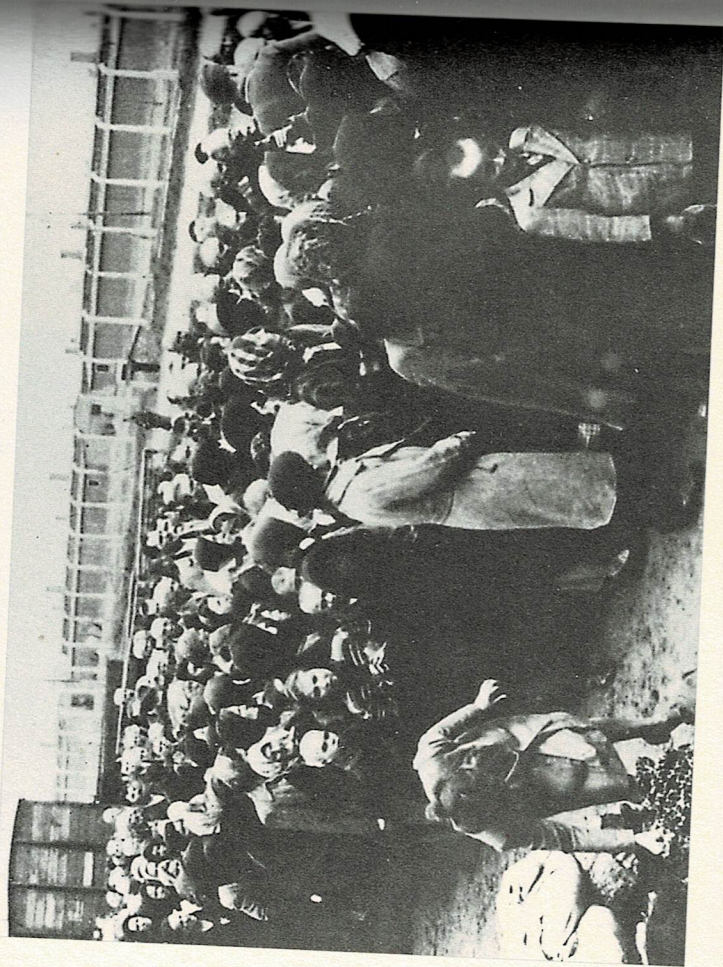
Nie mieliśmy już wtedy kontaktu z powstańcami, nie otrzymywaliśmy więc najważniejszych wiadomości o sytuacji panującej w Warszawie. Każdy chyba jednak gdzieś wewnątrz przeczuwał, że najgorsze dopiero przed nami.

W pamięci utkwiły mi kobiety, które niczym w obłądzie głośno płakały. Niek które z nich postradały zmysły. To, co działo się wokół nas – rozpoczynający się mord, poniżanie, brak poszanowania drugiego człowieka – spowodowało, że wiele z nich nie wytrzymało psychicznie. Najczęściej te, które były naocznymi świadkami śmierci swoich bliskich. Dla kogo miały być? Kiedy zostały same, ogarnęła je panika – i wcale mnie to nie dziwi. Pamiętam, że kiedy któraś z kobiet krzyczała i płakała zbyt głośno, podchodził do niej Niemiec i wyprowadzał ją na zewnątrz. Dookoła panowała noc, nikt nie odważył się odezwać, zapytać, wyjść za potrzebą. Wszystkie wyglądało, jakby było z kamienia. Nieruchome. Straż! Jeden celny strzał dostawała każda z obłąkanych kobiet, która lamentowała zbyt głośno.

Wspominam z wielkim rozczewnieniem, jak umęczone i wystraszone siedziałyśmy z mamą w pruszkowskiej hali, kiedy zauważyła nas starsza kobieta.

– Nie macie nic do jedzenia? – spytała. Oczywiście, że nie miałyśmy i wyciągnęła z worka ukrytego pod spódnicą kilka kostek cukru. Dzięki niej łatwiej było przeczekać te straszne chwile, bo starsza pani, której nieistoty imienia nigdy nie poznałam, przez cały czas częstowała nas słodkimi kostkami.

Kiedy następnego ranka skierowano nas do kolejnego transportu, dokonano pierwszej w moim życiu selekcji. Oddzielono kobiety od mężczyzn, a na trzecią stronę przeszły matki z dziećmi. Jak wspominałam, moja mama nie należała do wysokich, byłam może o dwa centymetry od niej niższa. Aby nas nie rozdzielono, mama postanowiła przejść ze mną na stronę matek z dziećmi. Niemiec burknął tylko coś pod nosem, usłyszałam: „Grosse Kinder” (tzn. wyrosnięte dziecko) – i wskazał ręką na wagon towarowy, do którego się udałyśmy.



Oczekiwanie na rampie na selekcję, 1944 rok. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-16=39

Droga mijala w niehigienicznych warunkach. Sierpień 1944 roku był upalny, a my nie mieliśmy wody ani niczego do jedzenia. Kolejny dzień w wagonie było tłoczno. Jedni stali, inni leżeli prawie jeden na drugim. Nie byłoby nam wygodnie oddychać. Małe okienka zostały wcześniej skrzętnie zaryglowane tak, że światła nie było widać. Jedna tylko mała szparka zaślepiona drutami pozwalała świeżemu powietrzu wlecieć do środka, choć w niewielkich ilościach. Jechaliśmy cały dzień bez krótkich nawet postojów. Z przerażeniem wspominałam odór odchodów unoszący się w wagonie. Nie mogąc wyjść na zewnątrz, każdy zalał swoją potrzebę fizjologiczną pod siebie.

Droga w nieznaną zaczęła nabierać konkretnych kształtów. Wiedzieliśmy, że dokądkolwiek jedziemy, to, co obecnie przeżywamy, jest zaledwie przedsmakiem tego, co nas czeka. Dokąd nas wieźli? Do piekła.

Rany Boskie, to Oświęcim!

Do Auschwitz-Birkenau dotarliśmy nocą 12 sierpnia 1944 roku. Zmęczonych do granic wytrzymałości wypędzono nas na rampę. Wychodziliśmy niezdarnie w pośpiechu, a towarzyszyły nam okrzyki Niemców: „Schneller, schneller!”.

– *Polnische Schweine!* – wydzierali się.

„Boże, gdzie ja się znalazłam, co to za miejsce?” – pomyślałam. Szybko otrzymałam odpowiedź. Jeden z mężczyzn, wychodząc z wagonu, rozejrzał się wokół i krzyknął ze łzami w oczach: „Rany Boskie, to Oświęcim!”.

Nic mi to nie mówiło, ale domyśliłam się, że koszmarnie dopiero się zaczyna.

– Mamusiu, dlaczego oni wyzywają nas od świń? – spytałam.

– Cicho, cicho... Dziecko, nie pytaj głośno o takie rzeczy! Nic nie mów. – Zrozpaczona mama rozglądała się, czy aby na pewno nikt mnie nie usłyszał.

Marsz z KL Auschwitz do Brzezinki zrobił na nas wrażenie, którego nie sposób zapomnieć do końca życia. Ciemna noc, rozświetlone psy, których ujadanie rozchodziło się po całym placu, reflektory na drutach i krematoria z dymiącymi kominami. Wtedy jeszcze my, *Zugang*, znaczy nowi, nie wiedzieliśmy, czym są te płomienie. Szpalery esesmanów lejących kolbami karabinów gdzie popadnie. Moja mama została uderzona tak mocno, że aż zgięła się wpół. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie: „Boże, dlaczego?”. Na szczęście mama trzymała mnie mocno za rękę, bo inaczej przewróciłabym się i inni więźniowie by mnie stratowali. Panował straszny chaos, ludzie

biegli przed siebie, płakali, rozglądali się za bliskimi, którzy gdzieś w tłumie zostali porozdzielani. Ponad nami słychać było ryki esesmanów i strzelał. Rozdzierający krzyk bitych ludzi. Gdzieś w oddali grała orkiestra. I to smród. Trupi odór. Zatykał nozdrza z każdym powiewem wiatru.

Później zabrali nas do łaźni. Rozebrane do naga, byliśmy przerażeni i zdziwione. Kiedyś nagość była tematem tabu. Nie to, co dziś, gdy widzimy ją niemal wszędzie. Zawstydzienie dla mnie było tym większe, że miałam dopiero dziesięć lat. Dookoła inne starsze kobiety i chłopcy, którzy razem z swoimi matkami mieli znaleźć się na naszym bloku. Po „prysznicu”, o ile można tak nazwać wykonywane z rozkazu czynności w łaźni, wyrzucili nas przed barak. Spędziliśmy tam całą noc. To, co przychodziło nam do głowy a były to wyobrażenia o strasznych rzeczach, które mogą nas spotkać, miało niebawem okazać się niczym w zderzeniu z rzeczywistością.

Następnie gestapowcy zebrali cały nasz transport do baraku, gdzie kolejno strzygli nam głowy. Musiałyśmy przed esesmanami paradować gołe. W kolejce do golenia głów stało wiele kobiet z dziećmi. Ja z mamą znalazłyśmy się prawie na końcu. Przed nami była Ela Sobczyńska. Śliczna dziewczynka w podobnym do mnie wieku, z gęstymi włosami splecionymi w warkocz. Bardzo przeżywała to, że zaraz nie będzie po nich śladu. Tak bardzo rozpaczła i płakała, aż Niemiec rozkazał fryzjerom, którymi byli polscy więźniowie, aby zaniechali golenia głów. Być może nasi oprawcy byli już po prostu zmęczeni. W ten sposób Ela zachowała swoje włosy, zostały tylko skrócone. Tym samym i mnie, i moją mamę również ominęło całkowite golenie głów.

W której „dziesiątce” jestem?

Kiedy znalazłam się w obozie w 1944 roku, numerów nie tatuowano już na rękach. Wpisywano je tylko do ewidencji w dokumentach. W kolejce po numer odebrano nam wszystkie rzeczy. Zdjęcia, pieniądze, okulary, biżuterię, ubrania i rodzinne pamiątki, które w pośpiechu, uciekając z domu, ludzie zdążyli ze sobą zabrać. O ile zdążyli. Jeśli tak się stało, chowali je kurczowo w białej lub mieli ukryte w znanych tylko sobie zakamarkach ubrań, licząc na to, że nikt się nie dopatrzy. Jednak Niemcy skrupulatnie sprawdzali niewielki dobytek każdego więźnia i odbierali wszystko, przekazując informację, że to tylko na chwilę i że przedmioty zostaną zwrócone. Nigdy tak się nie stało. Nasze ubrania, buty, jeśli były w dobrym stanie, zostały wysłane do Niemiec. Z pewnością ktoś z nich jeszcze skorzystał. Mnie odebrano

złoty łańcuszek oraz pamiątki po Pierwszej Komunii Świętej, którą przesyłałam kilka miesięcy wcześniej.

Tamtego dnia, zaraz po strzyżeniu, mama zrobiła coś, co jeszcze dzisiaj pamiętam. Jej intencje stały się dla mnie jasne...

Mamusia zawsze, chcąc chronić swoją jedyną córkę, tuliła mnie, trzymając w swoich ramionach tuż przed sobą. Opatulała i strzegła jak Anioł. Kiedy jednak zbliżyliśmy się do Żydówki, która nadawała kolejno numery, nagle stanowczym ruchem mama schowała mnie za sobą. Zaniepokoiła mnie to, ale pouczona wcześniej, aby nie pytać, nie dociekać, dlaczego tak dzieje się tak, a nie inaczej, stałam posłusznie. Po chwili nasze imiona i nazwiska, nasze tożsamości, nasze życia zmieniły się w zwykłe cyfry. Nie byliśmy już ludźmi. Mama otrzymała numer obozowy 86340, a ja kolejny 86341.

Mamusiu, dlaczego tak zrobiłaś? – spytałam później, kiedy nikt nie słyszał.

Bo Niemcy dzielili nas na dziesiątki. Istnieje ryzyko, że ludzie z jednej dziesiątki mogą zostać rozstrzelani lub trafić do pieca, ale ci z drugiej mogą przeżyć. Jeśli do tego dojdzie, to może ty ocalejesz, bo jesteś w innej dziesiątce niż ja – odpowiedziała mama. Bywało, czego sama byłam świadkiem, jak w Warszawie gestapowcy bez powodu wyciągali z tramwaju mężczyzn, ustawiali wszystkich kolejno i nakazywali co dziesiątemu wystąpić z szeregu. Te osoby były rozstrzeliwane. Dlaczego, pytam. Skąd ta nienawiść i brutalność, których nie sposób zrozumieć? Pytam od wielu lat, ale wiem, że nikt mi nie odpowie.

Nie zapomnę do końca życia mojego przerażenia, gdy zorientowałam się, że w obozie dzieci nie mają taryfy ulgowej. Rodzice w domu trzymali mnie z dala od wojennych informacji, chcieli uchronić mnie przed okrucieństwem, zapewnić spokój. Tu jednak w ciągu kilkunastu minut poczułam się dorosła, bo zaczęłam rozumieć, co mi grozi.

Numery i czerwone trójkąty zostały naszyte na nasze ubrania. Kolor czerwony oznaczał więźniów politycznych.

My wolności chcemy, a tu Warszawa idzie...

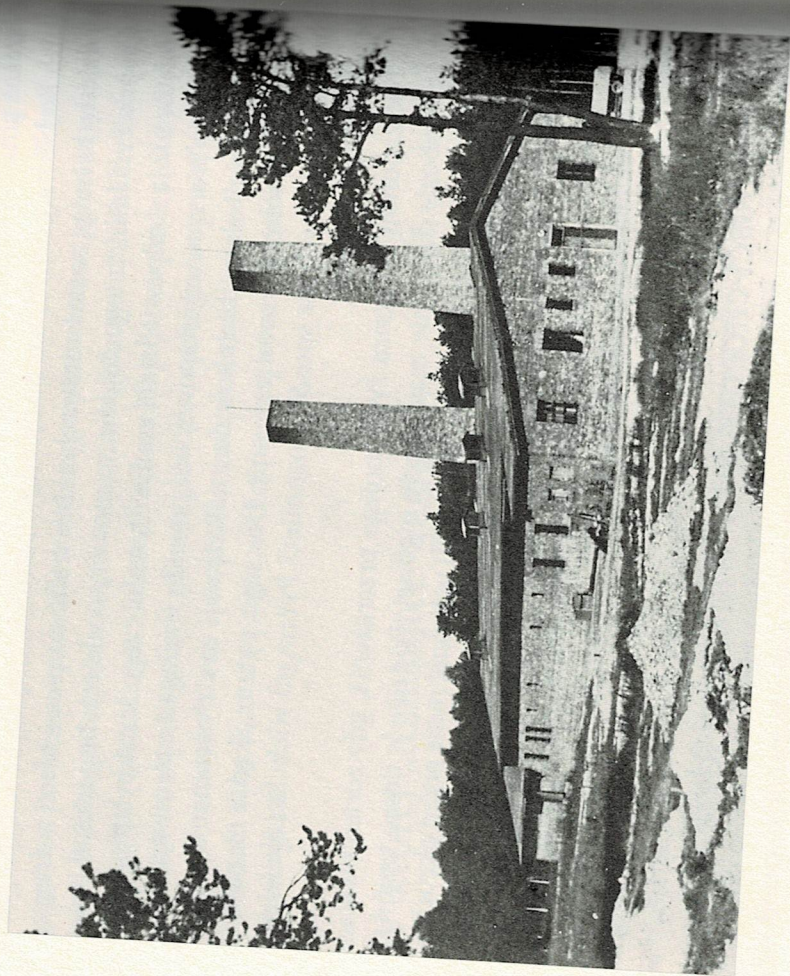
Kiedy wchodziliśmy na lager zaraz po przyjeździe z transportu, przed jednym z baraków stała kobieta. Rozglądała się dookoła przestraszona i pełna nadziei zarazem. Spojrzała na naszą grupę.

...co wy rzecie? – spytała.

– Boże, to Warszawa idzie? Myśleliśmy wszyscy, że na wolność niechcąc cię do baraku.

My, wchodząc do piekła, jakim było Auschwitz-Birkenau, nie zdawaliśmy sobie sprawy, co nas może spotkać. Mieszkając w Warszawie, w opłakanej Warszawie, nie wiedzieliśmy, że Auschwitz jest obozem zagłady. Oni tutaj również nie wiedzieli, co się dzieje poza obozem. Bo skąd? Czy wojna wreszcie się skończy? Czy zaznamy jeszcze wolności? Wolności, która jest naturalnym prawem każdego człowieka, a mimo to została nam okrutnie zabrana przez Niemców. Czy jeszcze cokolwiek nas czeka? Czy już tylko śmierć?

Gdy po tych wszystkich „przygotowaniach” zaprowadzono nas na Blok oddzielony od matek. Kobiety wpędzono do bloku 16, a nas do kolejnego – 16a. Trafiły tu wszystkie dzieci, zarówno dziewczynki, jak i chłopcy



Komora gazowa i krematorium IV. Fotografia wykonana przez esesmana w 1943 roku.
Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

ostatniego roku życia. W baraku spaliliśmy na kojach, które w niczym nie przypominały łóżek w domach. Dramat, który rozgrywał się już od kilkunastu godzin, przybierał na sile z każdą kolejną chwilą. Wśród nas przeżywały malutkie dzieci. Starsi, zdając sobie sprawę z trudnej sytuacji, porządkowali się obowiązuje w obozie zasadom. Maluchy, które były po cztery czy pięć lat, pragnęły tylko być z mamą i tatą. Oderwane od normalnego życia i ciepła rodzinnego trafiły do cuchnących i zawszonych łóżek z dala od rodzin, nie rozumiejąc, co dzieje się dookoła. Ciężko wyobrazić sobie małą dziewczynkę, dlaczego jej mama nie przyjdzie jej utulić do domu albo dlaczego bez powodu sztubowa uderzyła ją w twarz.

Dzieci, podobnie jak dorośli, w czasie porannych i wieczornych apelów stały po kilka godzin, czekając, aż sztubowe wszystkich policzą. Czasami po apelach pozwalano nam spotkać się z matkami. Były to rzadkie sytuacje, ale ważne, że mogliśmy choć na chwilę zobaczyć się z bliską nam osobą. Przekonać się, że żyje. To dodawało otuchy i sprawiało, że chciało się żyć. Niektóre z dzieci po takich spotkaniach wpadały w panikę. Płacz i lament roznosiły się po całym łagrze. „Mamo! Tato, pomóż!” – krzyki małych w stronę bezradnych matek, stojących daleko i szukających wrokiem swoich niewinnych, zdruzgotanych pociech.

Umarła z tęsknoty

Małuchki były ciasno. Spaliśmy po sześć dziewczynek na jednej. Nad ranem czuło się odrętwienie całego ciała. Pod głową worek z odrobiną szezki, a do przykrycia spróchniała derma, która rozdzierała się na strzępy przy lekkim pociągnięciu.

Pamiętam, że spałam na jednej koi z pięcioletnią Helenką. To małe dziecko strasznie rozpaczało z tęsknoty za rodzicami. Minął sierpień, była już połowa września, a ona nie chciała jeść ani pić. Faktem było, że nie specjalnego do jedzenia nam nie dawali. Jednak suchy chleb pozwał na przedłużenie wegetacji (bo z pewnością nie było to życie). Helenka ciągle płakała i nie pomagały jej bajki opowiadane przez starsze dziewczynki ani zapewnienia, że niedługo zobaczy się z rodzicami. Pewnego dnia sztubowa pozwoliła jej na spotkanie z matką w nadziei, że to nieco uspokoi dziewczynkę. Helenka wtulona w ramiona mamy na chwilę przestała łkać, ale po ponownym rozdzieleniu rozpoczęło się apogeum. Tak bardzo cierpiała i wpadła w takie spazmy, że nocą, leżąc obok mnie na koi, zmarła z tęsknoty. Sztubowe zorientowały się nad ranem, przed apelem. Wzięły stare płótno, którym

Chciały wynieść je na zewnątrz. Całe szczęście, że jedna z blokowanych przytrzymała zwłoki rękami, bo zużyty materiał pękł i ciało malutkiej dziewczynki spadłoby na ziemię. Serce mi pęka, kiedy o tym myślę. Gdy człowiek umiera z tęsknoty sam, nie ma gorszej śmierci. Historia Helenki jest najbardziej bitniejszym przykładem tego, co Auschwitz robiło ludziom. Kobietom, mężczyznom, dzieciom.

Boże, Ty wszystko możesz

Na jednym z porannych apeli stałam w pierwszym rzędzie. Esesman chodził tam i z powrotem, siejąc grozę. Licząc nas i czarnym, skórzanym pejszem uderzając lekko w swoją nogę, obutą w oficerki. Musiałśmy stać prosto, nieruchomo, grzecznie, gdyż w innym wypadku kończyło się biciem lub inną drastyczną karą. Wszystkie starałyśmy się, jak tylko mogłyśmy, nie zwrócić na siebie uwagi. Nagle Niemiec stanął naprzeciwko mnie i przez dłuższą chwilę patrzył mi prosto w oczy. Spojrzałam na niego, ale nie wiedziałam, jak się zachować, więc spuściłam wzrok i zamknęłam oczy. Wtedy podniosł pejsz i uderzył mnie nim w twarz. Płakałam, ale nie drgnęłam nawet. Poraniony policzek i ucho bolały mnie bardzo długo. Pręga została na kilka dni. Pamiętam, że kiedy esesman odszedł, spojrzałam w niebo i w myślach pytałam drugi już raz: „Boże, dlaczego na to pozwoliłeś? Stoję przecież tak grzecznie, Ty wszystko widzisz i wszystko możesz, a jednak pozwoliłeś, aby bez powodu mnie tak uderzył”. To było okropne. Nie miałam komu i nie mogłam się poskarżyć. Modliłam się więc, żeby Bóg pozwolił mi to wszystko przetrwać. Tego strachu, obawy o życie swoje i rodziny, zagrożenia czyhającego z każdej strony, zwątpienia nawet w Boga – nie da się opisać słowami. Niemcom nudziło się w czasie długich apeli, więc dla zabawy poszturchiwali i bili więźniów. Nawet dzieci!

Apela zawsze były pełne grozy. Nigdy nie było wiadomo, co może się wydarzyć, a mogło stać się dosłownie wszystko. Przed blokami dorosłych bito i rozstrzeliwano ludzi. Wśród dzieci przemocy było znacznie mniej, co nie znaczy, że nie było się czego bać. Z niechęcią wspominam dzień, w którym na naszym apelu jeden z esesmanów wywołał mój numer jako pierwszy. Skamieniałam. Przypomniały mi się od razu słowa mamy o dziesiątkach, które są wysyłane na pewną śmierć. Nie umiem oddać dziś słowami tego, co poczułam. Szybko okazało się, że tym razem Niemcy wybierali nie numery, lecz dziewczynki o ciemnych oczach, takich jak moje.

Zostałyśmy zaprowadzone na rewir do „Antoła Śmierci”, słynnego doktora Mengele. Od starszych dziewczynek, które w obozie przebywały dłużej, dowiedzieliśmy o nim okropieństwa. Nie mogliśmy jednak wiedzieć, czego doświadczyłam w Auschwitz. Przez kilka dni, wiele razy dziennie, zabierano nas do pomieszczenia, w którym pracował. Zakraplano nam coś do oczu, dostawaliśmy też zastrzyki. Do dziś nie wiem, co nam podawano. Nie opierałyśmy się, bo i po co. Nic byśmy nie wskórały. Oczy po tych zabiegach ropiały, swędziały, a powieki były spuchnięte. Prawie nic nie widziałam i całą twarz miałam owrzodzoną.

Dziś już wiemy, że eksperymenty, które prowadził Mengele, często doprowadzały do ślepoty lub śmierci. Był chorym człowiekiem. Jednym z celów jego eksperymentów było znalezienie sposobu na genetyczne warunkowanie cech aryjskich u dzieci, czyli między innymi blond włosów i niebieskich oczu, i to najlepiej w ciąży mnogiej. Dlatego interesowały go bliźniaki. Chciał „wyhodować” rasę nadludzi, za jakich Niemcy się uważali. Oczy brązowe chciał zmienić na niebieskie. Takich rzeczy pragnęli Niemcy!

Wykrzyzczyć, co czuję

Po tym wszystkim dziś zostały tylko słowa. Ale jak naprawdę wyrazić to, co kryje się pod pojęciami: „nieładzki czas”, „hekatomba”, „masowa zagłada”, „obóz śmierci”? Czy ktoś, kto nie doświadczył tych udręk, będzie w stanie wyobrazić sobie zapach świeżej krwi, widok stosów trupów porzuczanych po lagrze? Ciężko opisać to, co nas tam spotykało, i niebawem trudno zrozumieć komuś, kto nigdy czegoś podobnego nie przeżył, jakie emocje towarzyszą człowiekowi, kiedy przez długi okres każdego dnia patrzy śmierci prosto w oczy.

Walka z Gestapo to była walka z wiatrakami. My – wychudzeni, głodni i bez siły – naprzeciw potężnych i uzbrojonych Niemców. Nie raz, nie dwa miało się ochotę spojrzeć im w oczy i wykrzyzczyć całą niesprawiedliwość, jaka nas spotykała z ich strony. Byliśmy jednak numerami, które w łatwy sposób można po prostu wykreślić z ewidencji. Dziwnym trafem dziś czasami słyszymy, że wielu więźniów umierało na zawal albo popełniało samobójstwo. Bzdury! Wszyscy byli mordowani, nawet ci, którzy sami odbierali sobie życie. Odbierali je pośrednio Niemcy, wykańczając uwięzionych psychicznie i fizycznie, doprowadzając do utraty zmysłów, tworząc rzeczywistość, z którą nie można się było pogodzić, niewidzialną ręką prowadzącą na druty pod napięciem.

Czasami po apelach dzieciom pozwalano zostać chwilę na dworze, aby się pobawiły. Tylko czym miałyśmy się bawić? Dookoła pustkowicie, żadnego drzewa ani źdźbła trawy. Przy barakach na taczkach powyginane sztymy trupy. Niekiedy poukładane na stercie aż pod sam dach. „Aura” naprawdę nie sprzyjała zabawie. Ale zdarzało się, że biegaliśmy przed barakiem, lub ktoś kogoś zaczepił. I krzyknął „berek!”.

Kiedy rano przed apelem albo po apelu siedzieliśmy w baraku, kazano nam nie ruszać się z koi. Jednak dzieci nie usiedzą na miejscu, więc biegałyśmy wewnątrz, wąskimi, ciemnymi korytarzykami pomiędzy kojami a ścianami. Najczęściej przebywałyśmy w barakach całymi dniami, a jedyną możliwością wyjścia na powietrze stwarzał poranny lub wieczorny apel.

Zdarzały się też zupełnie nieoczekiwane apele w trakcie dnia. Ogłaszały je syreny, których nieprzyjemny dla ucha dźwięk rozbrzmiewał po całym lagrze. Taki wyjec oznaczał, że ktoś uciekł z obozu. Apele trwały wtedy bardzo długo, bo liczone nas i pilnowano, dopóki nie znalazł się ten, który uciekł. Żywy lub martwy. Zazwyczaj uciekiniera odnajdywały rozwścieczone psy, a jego powrót do obozu oznaczał, że niebawem zostanie zabity. Kiedy trwały apele, nikt nie zwracał uwagi, czy jest czterdziestostopniowy upał czy siarczysty mróz. Jeśli życie było ci miłe, musiałeś przez kilka godzin stać nieruchomo.

Kopce pluskiew

Kiedyś ktoś zapytał mnie:

– Basiu, a jak wy tam spaliście? W samych piżamach w tym ziąbnie?
Na te słowa roześmiałam się i z bólem wspomniałam obozowe warunki:
– Piżamy? Jakże piżamy? Dzieci dostały wstrętne, zawieszane ubrania, które od brudu i potu zaraz robiły się sztywne. Nie mogliśmy korzystać z wody, aby się umyć, a jeśli już, to bardzo rzadko. Ubrań też się więc nie prało, bieliznę wymieniano nam sporadycznie i twierdzono, że jest wyparowana – w co zresztą wątpiłam. Brud, który panował w obozie, przyczyniał się do szerzenia się chorób, a szczególnie świerzb i tyfusu. Gdy zabierano nas do łaźni, dostawaliśmy po kawałku ohydneho, zielonego mydła z gliny, które wcale się nie pieniło.

Pewnego ranka tak zwana starsza obozu, Stenia, przyszła do nas na blok FKL i zapytała:

– Dzieci, co chcielibyście, abym dla was zrobiła? Może jest coś, co zrobimy?

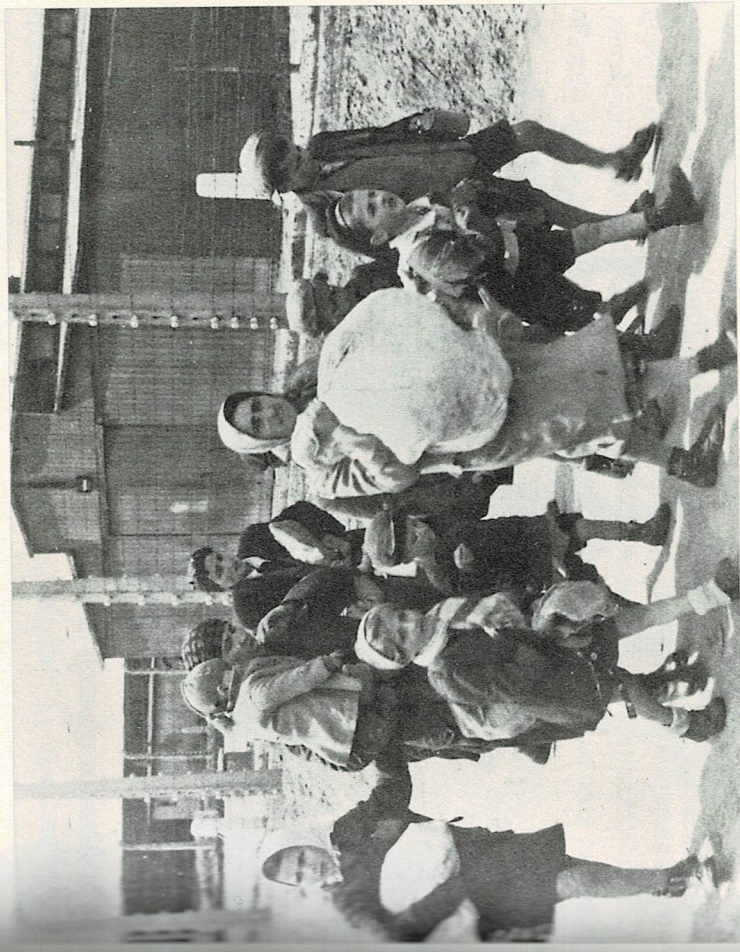
Wszystkie jednym chórem odpowiedziałyśmy, że chcemy do domu.

– Tego i ja bym chciała – odpowiedziała Stenia. – Ale nie mogę wam tego obiecać. Co innego chcielibyście dostać?

Drugą rzeczą, o której marzyło każde bez wyjątku dziecko w Auschwitz, było wygazowanie wszy. Wielkie na pół palca insekty gryzły nas noc i dzień, wywołując nie tylko ból, ale przede wszystkim świąd nie do wytrzymania. Było ich tak dużo, że rozcierałyśmy je po twarzy. Wgryzały się w wychudzone ciała i sijały resztki krwi. Wchodziły do nosa, uszu, oczu. Zagnieżdżały w rozdrapanych ranach.

– To mogę wam obiecać – odparła.

I rzeczywiście po kilku dniach wprowadzono nas przed barak i odkażono nasze koje. Przy każdej z nich pozostała kupka, wielkości kopca kreta, z których robali. Później zaprowadzono nas do łaźni, co zdarzało się bardzo



Żydzi z transportu w 1944 roku. Kobieta z dziećmi z dobytkiem, który będą musieli oddać. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-124-119

Jedź, zanim wywiozą nas do krematorium

...na rozmawialiśmy ze sobą o jedzeniu. Siedząc na koi, każda z nas miała o pysznościach, które zjadłaby, gdyby była w domu. Wspominaliśmy sobie przyrządzane przez nasze mamy i wyobrażaliśmy sobie, że je właśnie będziemy. Ale na nic te wspomnienia. Tutaj na śniadanie tylko kromka chleba gruba na jeden palec i kostka ohydnej margaryny. A na obiad woda zagałowana z lupinami, które wypływałyśmy, lub z jarmużem palącym język, składająca zupę, nazywana przez więźniów plujką lub lurą. Czasami wrzucano do niej zgnile warzywa. W zasadzie mogłoby nam w ogóle nie dawać jeść. Istotne porcje żywieniowe były głodowe nawet dla dzieci, a co dopiero dorosłych, którzy po apelu wychodzili poza obóz do ciężkiej pracy. Takie warunki wyczerpywały organizmy. Nie ominął mnie szkorbut, wypadły mi zęby. Wielu więźniów nigdy nie opuściło obozu z powodu wyniszczenia organizmu. Czekaliśmy tam na śmierć.

Na ten głód i choroby wszyscy mówili, że były okropne, najgorsze. Ale mnie jakoś udawało się wytrwać. Kiedy któraś z nas poważnie zachorowała, trafiła na rewir. W „szpitalu” panowały równie złe warunki co na bloku, a w przypadku chorych obłożnie robiono selekcję i najłabszych wysyłano do pieca kremacyjnego. Wiedzieliśmy o tym od innych dzieci, które były tego świadkami, więźniów, a czasami nawet rodziców, z którymi udawało nam się spotkać, gdy blokowa pozwoliła. Dlatego wiedząc o tym, jak może skończyć się „wizyta” na rewirze obozowym, nie przyznawałyśmy się, kiedy coś nam dolegało. Czasem bolało gardło albo brzuch, doskwierał świątob zmagaliśmy się z tym po cichu.

W zabawie w jedzenie czasami padały słowa: „Masz, to pyszna jagnięcina, zjedź, zanim wywiozą nas do krematorium”.

Cegielka

Niektóre koje były całkowicie zaciemnione, tak że nie było widać niczego. Przy mojej znajdowało się okno. Zaglądałam w nie czasami, obserwując niebo. Wydawało się takie odległe i nieskazitelne. A my tu, na ziemi, w niewoli, w piekle. Pytałam się w duchu, dlaczego nas to spotyka i czemu świat daje Niemcom przyzwolenie na takie okrucieństwa. Odpowiadała tylko cisza, zakłócana ciągłym sykaniem drutów pod napięciem.

Kiedy więźniów prowadzono do gazu, zamykano nam okna, abysmy nie patrzyli i nie słyszeli lamentów i krzyków ludzi. Niemcy nie robili tego wcale

...wzobrac, a rachmany, w których chodziliśmy, zostali w taki sposób, że żadna z nas nie wiedziała, gdzie znajdują się jej rzeczy duże... Dopiero w bloku się zamieniałyśmy. A gdy stałyśmy tak nago, jeden z dziewczyniek, chcąc rozbać resztę koleżanek z obozu, powiedział: „Patrzcie! Garderoby do choroby. A jak mama pierze, to ja nago leżę”. Śmiałam się i ja. Trzeba było nam choć odrobiny uśmiechu, aby nie odejść od zmysłów. Ale takich chwil z uśmiechem na twarzy nie było wiele. I szczerze przyznam, że do dziś mam wstręt do czarnych porzeczek.

Gdy tylko czuję ich zapach, ogarnia mnie trwoga i obrzydzenie. Pachną jak rozgniecione w palcach pluskwy, które przez kilka miesięcy wgrzyzały się w moje ciało i w obozie były wszechobecne.

Któregoś dnia, stojąc na drabinie, jeden z więźniów namalował na ścianie w naszym baraku dzieci chodzące do szkoły i zabawki. Zastanawiałam się z koleżankami, po co nam malują takie rzeczy. Ani do szkoły nie możemy chodzić, ani zabawek nie mamy i wszyscy doskonale wiemy, że czeka nas stracenie. Wcześniej czy później.



Rodziny żydowskie z transportu w 1944 roku. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-128-121

z troski o nas. Wręcz przeciwnie – nie chcieli się paniki i wzbudzać w ludziach strachu większego niż ten, który już nimi owładnął. Wiedzieli przecież, że spanikowany tłum może być niebezpieczny. Na wysokości mojej klatki była jednak poluzowana cegłówka. Podejrzewaliśmy, że jakaś więźniarka, która tu spała wcześniej, wydlubała zaprawę murarską. Dzięki temu, gdy nikt nie widział, mogłam z koleżankami podglądać, co dzieje się na zewnątrz. Ponieważ cegielkę wyciągałyśmy i chowałyśmy z powrotem bardzo ostrożnie, uchodziło to uwadze blokowych.

Ktoregoś ranka po jednym z apelów przyprowadzono nas do baraku i rozkazano siedzieć spokojnie na miejscach. Zza murów słyszałać było szloch i krzyki: „Oj, mame! Oj, tate!”. W pośpiechu wbiegłyśmy na koję i odsunęłyśmy cegłę. Widziałam wiele matek z dziećmi, prowadzonych w zwartej grupie. Prerażone matki jak cienie – wychudzone, blade – szły przed siebie, ciągnąc za sobą płaczące dzieci. To były Żydówki, bo miały na odzieży widoczną gwiazdę Dawida.

– Prowadzą ich do komory gazowej – powiedziała jedna ze starszych koleżanek. – Stąd można wyjść tylko przez piec krematoryjny.

Nie można sobie wyobrazić, jakie było nasze przerażenie.

Cegielka, którą wyjmowałyśmy, zaczęła z czasem służyć jako narzędzie do przemytu jedzenia i innych drobiazgów. Czasami moja mamusia, niekiedy inne mamy podawały dzieciom przez szpary dodatkowy kawałek chleba, którego sobie odmówiły, albo jakąś maść na świąd, jeśli udało im się od kogoś wyprosić.

Zdarzyło się pewnego razu, że moja mama przyszła z matką Jacka Nadolnego, panią Zofią, która chciała przekazać swojemu synowi mały pakunek z jedzeniem. W baraku mieszkała z nami Basia Cesarska, spokrewniona z Nadolnymi. Basia pokłóciła się kiedyś z panią Zofią, a była dziewczynką upartą i zaczepną. Potrafiła dać komuś szturchańca, była niespokojna. Trudno było się dziwić. Jedne z nas popadały w nostalgię, inne reagowały na życie w obozie agresywnie.

Kiedy mały pakunek został włożony do szczeliny po wyciągniętej cegle, Basia powiedziała, że nie poda paczuski Jackowi. Nie pomogły błagania pani Zofii. Wtedy mama poprosiła mnie, abym wzięła jedzenie i zanosła chłopcu. A ja się bałam, że podpadnę Basi. Sama więc ją poprosiłam, by się zlitowała.

– Nic mnie to nie obchodzi – odpowiedziała. Wtedy wzięłam pakunek i zniosłam chłopcu.

„Deutsche kaputt!”

W międzyczasie przeniesiono nas do bloku na lagrze cygańskim. Tam warunki traktowania ludzi były jeszcze gorsze. Trupy leżały przed barakami, w błocie i niemal na każdym rogu. Kiedy ktoś zmarł, wyrzucano go na sterżni jak śmiecia. Ciała były wychudzone, nogi i ręce wyglądały jak patyki. Czasami wylaniała się głowa z zapadniętymi oczami albo biodro. Więźniowie wkładali zwłoki na taczki lub wozy, którymi później przywożono jedzenie, i zabierali je do krematorium.

Na cygańskim lagrze byliśmy do 10 stycznia 1945 roku. Siarczysty mróz szczypał w policzki i nos. Prawie bosa marzyliśmy niemiłosiernie. Rankiem na apelu gestapowiec wywołał mój numer. Koleżanki szeptały, że zabierają mnie do komory gazowej. Ogarnął mnie strach. Blokowe uspokajały, że pewnie chcą nas wywieźć do innego obozu. Za chwilę wywołano kolejne dziewczynki. Nikt niczego nie tłumaczył. Stałyśmy przerażone, kiedy nagle przyprowadzono do nas matki. Poczuliśmy ulgę, że zobaczyłam mamę, zaraz pojawił się jednak lęk: czy razem pójdziemy do zagazowania?

Tego dnia pięćset matek z dziećmi niemieccy żołnierze wywieźli do Berlina. Rozpoczęła się ewakuacja obozu, ponieważ Niemcy doskonale już wtedy wiedzieli, że „Deutsche kaputt!”. Spieszyli się i chcieli ukryć, co zrobili milionom ludzi. Bali się, że poniosą srogie konsekwencje. Burzyli krematoria, których ruiny tak dobrze zachowały się do dnia dzisiejszego, palili zwłoki, ubrania. Nie da się zatrzeć śladów kilkuletnich działań obozu zagłady.

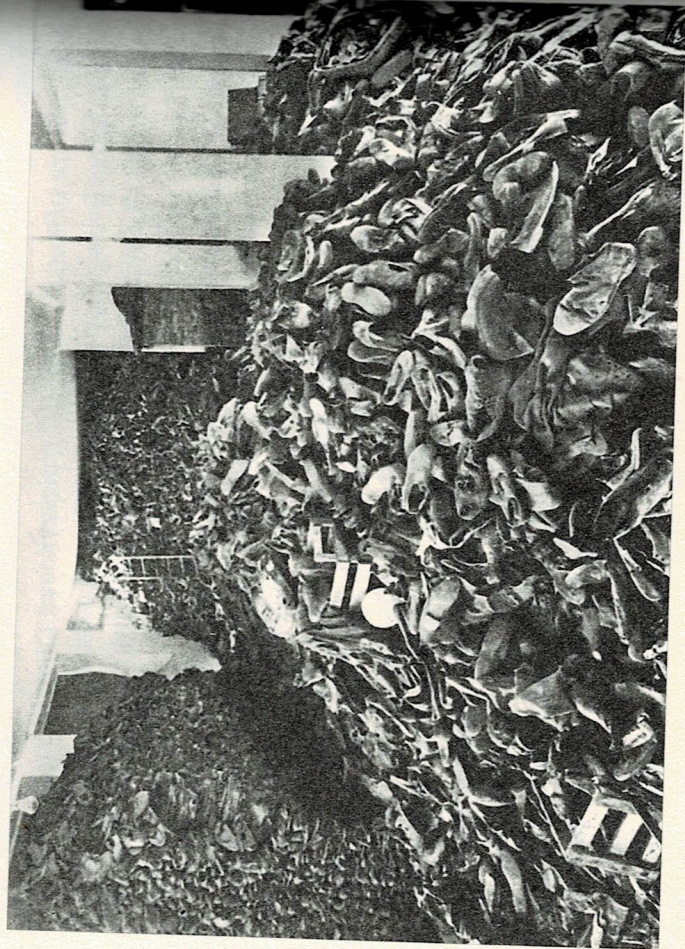
Bardzo chciałam zobaczyć się z tatą, nie widzieliśmy go z mamą od poranka, gdy w domu zastało nas Powstanie Warszawskie. Czy żył? Nic nie wiedzieliśmy.

„Tata”

Do Blankenburga, jednej z dzielnic Berlina, jechaliśmy pociągiem w lepszych warunkach niż te, które panowały podczas wywózki do Auschwitz-Birkenau. W Blankenburgu znajdowała się filia obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Matki z dziećmi musiały tu pracować. Była to praca całkiem bezpieczna, choć nadal ciężka. Zdarzało się, że razem z niemieckim majstrom całą grupą chodziliśmy odgruzowywać zbombardowany Berlin. Pamiętam też, że sprzątałyśmy fabrykę czekolady po bombardowaniu. Znosiłyśmy i układałyśmy cegły, kawałki drewna, a wśród gruzu leżały zamknięte szczerlnie w metalowych puszkach czekolady. Podkradaliśmy je, gdy

nikt nie widział. Wśród majstrów, którzy wychodzili z nami do pracy, był dobry Niemiec. Wołał nas na niego „tata”. Pozwalał nam nosić mniej grube buty, niż powinniśmy, tak aby wiadra nie były zbyt ciężkie. Nie miał również nic przeciwko temu, aby zjeść kawałek czekolady. Był przyjazny i czasami kiedy miał coś do jedzenia, potrafił się z nami podzielić. Drugi majster był zupełnie innym człowiekiem. Wzbudzał wymuszony respekt i strach. Tytuł „tata” było przy nim dokładnie uważać, co się robi i mówi, a najlepiej było robić tylko to, co należało do naszych obowiązków. W innym razie zdolny był uderzyć nawet dziecko.

Pewnego dnia zastał nas w Berlinie nalot. Bombardowanie i ogień buchały z każdej strony. Budynki waliły się tuż obok nas i trzeba było uważać, aby nie znaleźć się pod nimi. Panował przez to wszystkim ogromny chaos. Nigdy dotąd nie widziałam czegoś takiego. Aby nie zginąć pod gruzami lub by nie rozszarpał nas wybuch, musieliśmy się ukryć. Kiedy więc zaczęły wyc syreny, rzuciliśmy robotę i pobiegliśmy za tłumem. Wszyscy, którzy mogli, schronili się w pobliskim bunkrze. Jedna Niemka – tak nazywałaśmy Niemki – zatrzasnęła drzwi betonowego bunkra tuż przede mną.



Stosy butów po zamordowanych Żydach. Zdjęcie z 1945 roku. Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

Wojacy zdążyli się schować, tylko nie ja. Kolejny raz postawiono mnie przed, o zgrozo, sytuacją bez wyjścia. Na moje szczęście obok pojawił się stary, słaby mężczyzna, również Niemiec, wziął mnie za rękę i otworzył drogę do schronu. Słyszałam, jak krzyczał na kobietę, która nie pozwoliła się ukryć.

Wyzwolenie ma smak zupy

W Berlinie byliśmy z mamą aż do wyzwolenia. Pamiętam, jak zbliżał się front. Na teren miasta wkroczyły rosyjskie wojska. Jeden z oficerów był taki przyjazny, ładnie ubrany, mówił nawet nieco po polsku! Generalnie jednak rosyjskie wojsko to był obraz nędzy i rozpaczy: podarte mundury, a z walozek wystawały gazety.

Oficer zagroził żołnierzom poważnymi konsekwencjami, jeśli tkną jaką kobietę. Wzbudzał w nich respekt i po jego słowach żaden mężczyzna nie odważył się do nas. Zaproponował naszej kilkuosobowej grupie więźniów, abyśmy udali się do następnej miejscowości, bo są tam Polacy i nam pomogą. Tą samą trzykilometrową trasą szli Francuzi, Włosi, Polacy. Kiedy dotarliśmy na miejsce i zobaczyliśmy swoich, ogarnęła nas wielka radość. Wolność? Czy naprawdę to przetrwalimy? Czy to już koniec?

Polacy widzieli w nas ludzi zmartwychwstałych, bo tak też wyglądaliśmy. Pamiętam, że dali nam do zjedzenia gorącą zupę, grochówkę. Niemądre było to, co większość z nas zrobiła. Najadła się. Skurczone żołądki, nieprzyzwyczajone do ciepłych i dużych posiłków, bardzo nas rozboleły. Zupa była pyszna i ja też sporo jej zjadłam. Później myślałam, że się wykończę. Jednak człowiek po pobycie w obozie zagłady jadł, kiedy mu dawano, i ciągle było mu mało.

Powrót do Polski odbywał się głównie pieszo. Szliśmy zmęczeni, czasami zatrzymując się na nocleg. Od czasu do czasu ktoś zlitował się i podał coś do jedzenia. Ale bywało, że jedzenie trzeba było kraść i spać pod gołym niebem. Ludzie nie zawsze chcieli pomagać. Niekiedy Polacy jadący ciężarówkami na nasz widok zatrzymywali się i podwozili nas parę kilometrów.

Któregoś dnia na jednej ze stacji na trasie do Poznania natrafiliśmy na odkryty wagon do przewożenia węgla. Przez jakiś czas podróżowaliśmy w nim większą grupą Polaków w stronę kraju, ale później kazano nam wysiąść. My z mamą uprosiliśmy jednak kolejarza, aby pozwolił nam jechać aż do samego Poznania. Stamtąd udaliśmy się pociągiem elektrycznym do Warszawy. Im bliżej byliśmy Polski, tym częściej odczuwałam tęsknotę za tatą.

W Auschwitz na jesionce miałam namalowany krzyż. Namalowali go czerwona farbą, gdy nam zabierali odzież w obozie. I tak naznaczony placki czyk w końcu do mnie wrócił. Dotarłam z nim do Warszawy. Później moja mama wydtłubowała farbę, abym mogła z niego korzystać po wojnie, gdyż nie miałam innej odzieży.

Brama

Nasze miasto legło w gruzach. Dokąd miałyśmy pójść? Przecież na własne oczy widziałyśmy, jak miotaczami ognia Niemcy spalili nasz dom. Udałyśmy się jednak na Kalicką, gdyż żadne inne miejsce nie przychodziło nam do głowy. W miejscu, gdzie kiedyś stała nasza kamienica, były ruiny. Ale tu przed nimi nienaruszona prawie zachowała się kamienna brama. Zobaczyłyśmy na niej dziesiątki małych karteczek i kopert powciskanych w szczeliny rogi i zakamarki.

– To rodziny zostawiają informację, gdzie przebywają, dla tych, którzy wracają z wygnania lub z obozów – powiedziała mama. Chwilę sama szukała z nadzieją, że tata zostawił jakąś wiadomość.

I rzeczywiście – znalazła! Na karteczce było napisane: „Franciszek Racki, Grażyny 20”. Był to adres siostry mojego ojca. Mieszkała tam przed powstaniem i adres się nie zmienił. Czym prędzej przez Pole Mokotowskie poszłyśmy w tym kierunku, odczuwając wielką radość, że spotkamy kogoś z rodziny.

Ciocia była wielce uradowana, gdy nas zobaczyła. Przytuliłyśmy się, nie zabrakło łez wzruszenia. Zrobiła nam herbaty i o wszystkim wypytywała. W domu nie było jednak taty. Razem z siostrzeńcem Henkiem co dzień wychodził na Dworzec Zachodni, gdzie wracali więźniowie z obozów, i wyszukiwał nas w tłumie. Do tej pory bezskutecznie. Wtem usłyszałyśmy głosy dobiegające z podwórza (okno w kuchni było otwarte). Ciocia mieszkała na parterze, więc słowa dochodziły do mnie wyraźnie.

– Heniu, ale by było, gdybyśmy tak weszli do domu, a tam siedziały Gienia z Basią – rozpoznałam głos ojca. Serce trzepotało mi radośnie, bo wiedziałam, że wreszcie wszyscy znów będziemy razem!

Kiedy tata wszedł do kuchni i nas zobaczył, o mało nie zemdlął. Płakał i przytulał nas do siebie. Płakali też kuzyn Henio i ciotka. Rodzina. Byliśmy razem. Przeżyliśmy wojnę. Ja z mamą przetrwałyśmy Auschwitz – obóz mamasowej zagłady.

Z rozmów z tatą dowiedzieliśmy się, że Powstanie Warszawskie zastało go na Wolskiej 84, gdzie pracował w magazynach Spolem. Kiedy wrócił do domu, nie było ani nas, ani budynku, w którym mieszkaliśmy. Opowiadał nam, że bardzo to przeżył. Magazyny Spolem podczas powstania zostały spalone przez Niemców. Dlatego nie zabrali taty do Oświęcimia. Dopóki nie zostały do pracy byli potrzebni na miejscu, nie ładowano ich do transportu. Ojciec został konwojentem i jeździł dużą ciężarówką z niemieckim kierowcą. W styczniu 1945 roku pojechali z towarem w okolice Grodziska. Niemiec zapytał tatę, czy ma rodzinę. Ojciec przytaknął i pokazał mu fotografię moją i mamy, którą zawsze nosił przy sobie. Kierowca pochwalił, że jesteśmy ładne, wsiadł do ciężarówki i powiedział: „*Deutsche kaputt!*”. Wskazał ręką stronę przeciwną do Warszawy i dodał: „*Nach Hause?*”. Sam odjechał do stolicy.

To uratowało tacie życie, ponieważ wielu jego kolegów z pracy w Warszawie straciło w tym czasie życie. Ojciec do końca obawiał się, jak Niemiec się zachowa. Czy nie strzeli mu w plecy, gdy się odwróci i będzie chciał odejść? Starszy kierowca okazał się jednak dobrym człowiekiem. Może sam nie miał rodziny albo ją stracił i przez to pozwolił tacie wrócić do nas?

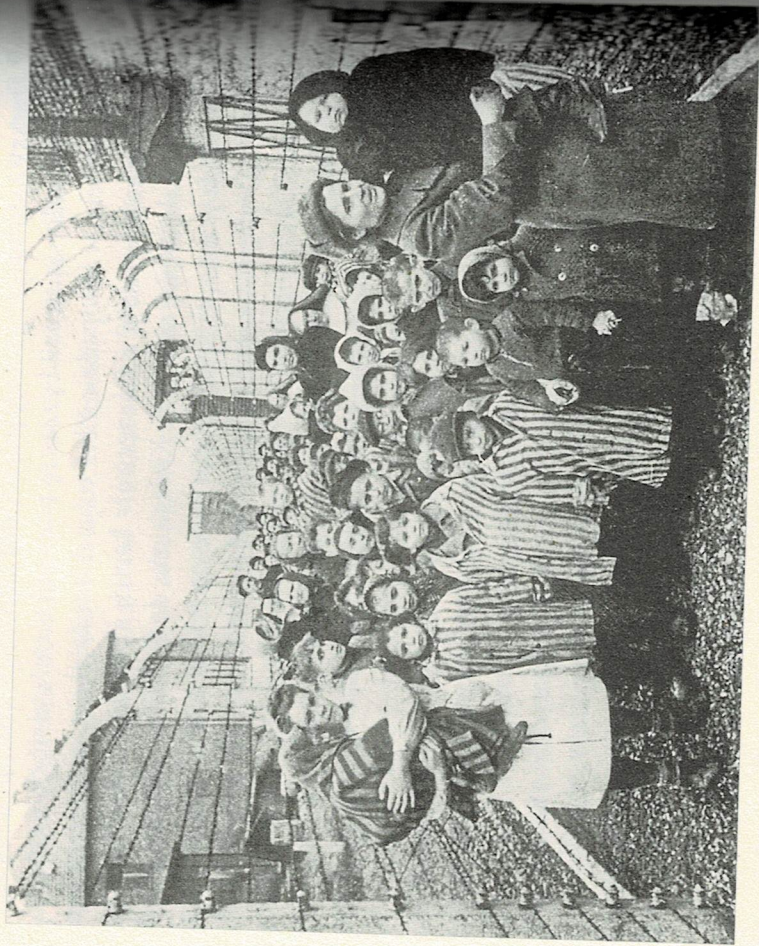
Ojciec dopiero w listopadzie 1944 roku dowiedział się, gdzie jesteście. Wtedy moja mama wysłała z Oświęcimia kartkę (kupioną w kantynie za kawałek chleba) do swojej siostry w Kieleckiem, do Fałkowa. Nasz dom był spalony i nie była pewna, czy pod innym adresem wiadomość dotrze do taty. Treść kartek z Oświęcimia zawsze była cenzurowana i musiała brzmieć jednako: „Jestem w Oświęcimiu, nie jestem głodna i jest mi tu dobrze. Jestem zdrowa”. Co za ironia! Esesmani kazali pisać dokładnie to, co było przeciwnością rzeczywistości. Robiąc to, pozostawili po sobie ślad w historii. Kolejny ślad kłamstwa.

Kiedy ciocia Marysia z Fałkowa dowiedziała się o miejscu naszego pobytu, chciała wysłać paczkę z jedzeniem i ciepłym ubraniem na zbliżającą się zimą. Ale wtedy już paczek w obozie nie przyjmowano.

Tata bardzo przeżył wojnę i rozłąkę z nami. Choć sam wiele widział, nie był w Auschwitz. A czym był obóz zagłady, nie można uzmysłowić komuś, kto nie widział tego wszystkiego na własne oczy. Patrząc na mnie, ojciec powiedział:

– Basia, to źle nie wygląda.

– Tato, ja taka spuchnięta z chorób i głodu jestem – odparłam. Miałam chude nogi i duży brzuch. Sądziłam, że jestem brzydka. Mimo pocieszeń taty bardzo się krępowalam.



Dzieci oswobodzone w 1945 roku. Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

Z jednej niedoli w drugą niedolę

Życie skończyła się gehenna życia obozowego, rozpoczęła się druga. Gehenna jest jednak najcięższą już dziewczynką, która bez środków do życia i dachu nad głową musiała opiekować się chorującymi rodzicami. Tata zaczął chorować na serce, mama dostała półpaśca i bardzo cierpiała. Pomogła mi wtedy ciocia, siostra taty. Bez niej nie poradziłabym sobie.

Gdy sytuacja nieco się polepszyła, ojciec rozpoczął remont mieszkania w Gruzynie. Ciocia mieszkała na parterze, a nasz dom tworzył się w podartyku na pierwszym piętrze. Ojciec wyburzał ściany i stawiał nowe z cegły i tynku z ociem. Pamiętam, jaki chodził zmęczony, wychudzony, w podartych dżantach i drewniakach. Długo trwało, zanim uporaliśmy się z powojennymi problemami. Jednak ostatecznie przetrwalimy i to.

Nowe życie

Moją rodzinę założyłam z Kazimierzem Donieckim. Poznałam go w Fałkowie, Ciotka Bronka, siostra mamy, wyszła za mąż za rodzinnego brata ojca mojego męża. Kazika poznałam, gdy przyjeżdżałam do niej na wakacje. On studiował we Wrocławiu, a ja mieszkałam w Warszawie. Spotykaliśmy się tylko latem w Fałkowie. Pewnego dnia wuj, mąż mojej ciotki, zauważył:

– Coś ten Kazik nam się zmienił na lepsze. Nigdy nie przychodził i nie mówił za dużo, zajmował się głównie sobą. A teraz przyjdzie do domu i więcej pogada, dłużej pobędzie.

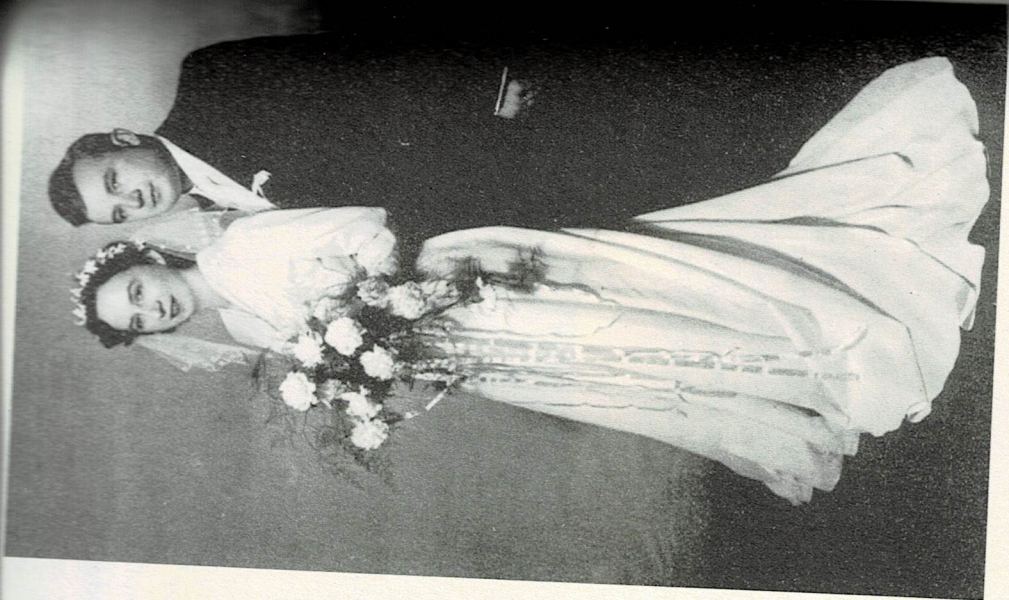
– Jakis ty głupi! On nie do ciebie, tylko do Basi przychodzi! – roześmiała się ciocia.

W 1957 roku pobraliśmy się. Jesteśmy szczęśliwą rodziną. Mamy dwóch synów i synowe, wnuczki i prawnuki. Cieszę się, że udało nam się umknąć śmierci, która podczas wojny zagrażała na każdym kroku, i przeżyć swoje życie. Doceniam w nim wszystko, co mam. 26 grudnia 2017 roku obchodziliśmy z mężem sześćdziesiątą rocznicę ślubu. Jestem szczęśliwa, mając tak kochającą się rodzinę.

Sen o Auschwitz

To jak sen o śnie. Sen, który nie ma prawa się urzeczywistnić, a jednak się wydarzył. Był. I pozostawił ślady w naszych głowach, na naszych ciałach,

*Pani Barbara z mężem
Kazimierzem Donickim.
Ślub odbył się 26 grudnia
1957 roku w kościele
św. Michała przy
ul. Puławskiej
w Warszawie.
Fot. Archiwum rodzinne*



w historii całego świata. Auschwitz to była fabryka śmierci. Służąca masowemu zabijaniu ludzi, a według Niemców – podludzi. Od początku obóz w Oświęcimiu i Brzezince był nastawiony na mordowanie niewinnych. Napływ nowych więźniów był nieograniczony. Nowe baraki budowały się w mgnieniu oka, Niemcy planowali stworzenie największego na świecie pieca krematoryjnego, gdzie będzie można masowo palić zwłoki, po wcześniejszym zagazowaniu ludzi cyklonem B. I udawało im się to, byli na drodze do stworzenia takiego systemu.

W moich snach powraca obraz biednej Helenki. Niewinne dziecko stało się według mnie symbolem śmierci niewinnych. Zawsze kiedy jestem na uroczystościach w Oświęcimiu, idę do baraku 13. Staję naprzeciwko koi,



Na tej koi zmarła 5-letnia Helenka. Pani Barbara, będąc w Auschwitz, zawsze stawia jej aniołka, ponieważ tę koię traktuje jak jej nagrobek. Fot. Archiwum rodzinne

na której razem spaliśmy, i zostawiam Helence aniołka. Niech jej strzeże. Tę koię traktuję jako nagrobek Helenki.

Do Auschwitz jadę jak na wielkie cmentarzysko. W ziemię zarówno na terenie obozu, jak i poza nim, wsiąkło tyle cierpienia i nienawiści, że śmiem stwierdzić – i jestem o tym przekonana – iż każdy centymetr tej ziemi przesiąknięty jest krwią. Tyle prochów po spaleniu ludzkich ciał zostało tam rozsypanych, nawet na przyległe do obozu pola, do rzek. Kości porozrzucano i rozkruszono, tak że chodząc po dzisiejszym muzeum, chodzimy po nich. Co więcej można dodać? Czy trzeba coś jeszcze powiedzieć?

Niech każdy zamknie oczy i wyobrazi sobie noc, nieprzeniknącą czerń, którą rozjaśniają tylko światła reflektorów ustawione nad drutami i czerwone lampki na drutach przypominające, że płynie w nich śmiertelne napięcie. Nieprzerwana cisza i wolność zamknięta w klatce z drutów kolczastych.

NR obozowy: 83512

LEOKADIA ROWIŃSKA z domu **Sokołowska**

Urodzona: 20 maja 1924 roku w Warszawie

Data wywózki do **Auschwitz**: 12 sierpnia 1944 roku

Obozy koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau

Przylam go od porodu przez dziewięć dni. W Auschwitz było tyle łez i wrzasku, a on nie zapłakał ani jeden raz. Spojrzał na mnie pewnego dnia... miał niebieskie oczy.

LEOKADIA ROWIŃSKA

Ciąża i poród w Auschwitz

Gdy trafiła do Auschwitz, była w trzecim miesiącu ciąży. Przeżyła tylko ona i jej matka. Przedstawia swoją historię z perspektywy kobiety ciężarnej i ukazuje, jak okrutnie traktowane były przyszłe matki. Ireneusz, bo takie imię nadała swojemu synkowi, stał się najmłodszą ofiarą Marszu Śmierci. Pochowała go w pudełku po makaronie, we wsi Poręba pod kapliczką Świętego Józefa.



Leokadia Rowińska. Fot. Archiwum rodzinne

Jak pięknie, jak pięknie ćwiczą!

Pamiętam, jak 1 września 1939 roku mój brat wspiął się na dach domu przy ulicy Grójeckiej, gdzie mieszkaliśmy, i krzychał zachwycony w stronę nadlatujących samolotów:

– Jak pięknie, jak pięknie ćwiczą!

Jedni – tak jak mój brat – sądzili, że to ćwiczenia, inni byli przekonani, że to przedśmieszki wojny. Kiedy sąsiedzi powiedzieli, że na polach leży pełno trupów, brutalnie dotarło do nas, że to nie były ćwiczenia. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam niemieckiego żołnierza, ktoś właśnie do niego strzelał. Mój czynna nie zmarł od razu. Konał powoli. Niedługo później stałam się ofiarą Niemców, będąc więźniem obozu w Brzezince.

Zanim to jednak nastąpiło, poznałam na Ochocie Henryka Rowińskiego. Byłam przekonana, że to mężczyzna, z którym zostaną na dobre i złe. Nasza miłość, jak każda inna, miała swoje wzloty i upadki.

Moja przyszła teściowa, Karolina Rowińska, była przeciwna naszej miłości. Zależało jej, aby syn nie poślubił mnie, ale inną, może bardziej zamężną kobietę. Mimo to Henryk kupił dla mnie złoty pierścionek i oświadczył mi się. To nie spotkało się z aprobatą jego matki. W końcu, zdenerwowany, podjął decyzję, że wyjedzie na roboty do Niemiec, do fabryki zbrojeniowej. Szybko jednak zrozumiał, że jest to ciężka praca i zapragnął wrócić do domu Uciekł. Wrócił do Warszawy, gdzie został aresztowany.

Postanowiłam, że go wykupię. Nie miałam jednak pieniędzy. Musiałam oddać swój złoty zaręczynowy pierścionek. Choć straciłam rzeczowy dowód jego miłości, odzyskałam więcej – samego Henryka! Postanowiliśmy się pobrać. 15 sierpnia 1943 roku stałam się panią Rowińską. Ślub wzięliśmy w kościele świętego Jakuba.

Sytuacja w kraju, wydawało się nam, stała się bardziej stabilna. Był to dla nas piękny rok. Miałam wtedy dziewiętnaście lat, Henryk był rok starszy. Nasze szczęście nie trwało jednak długo. Do dziś nie mogę się z tym pogodzić. Ale czy mam wyjście? Tak wyglądała wojna. Nie mieliśmy wpływu na to, co działo się dookoła nas.

Kiedy 12 sierpnia 1944 roku Niemcy wtargnęli do naszego mieszkania, byłam z rodzicami i starszym bratem Jankiem oraz mężem. Niemcy krzyknęli, że mamy się spakować i wynosić z domu. Najpierw wypędzili nas na podwórko, ustawili pod ścianą i rozkazali klęknąć. Wiedzieliśmy, że chcą nas rozstrzelać. Nagle jednak coś się wydarzyło, być może otrzymali inne polecenie. W konsekwencji pozostawili nas przy życiu. Pędzili nas z Ochoty na Zieleniak, zielony plac, na który wchodziło się zieloną bramą od strony ulicy

Grójeckiej. Zatrzymaliśmy się dopiero na Dworcu Zachodnim, skąd mieliśmy zostać przewiezieni do Auschwitz-Birkenau. Tatę, Jana Sokołowskiego, posłał z Warszawy wysłali do Mauthausen. Nie wiedziałam wtedy, że nie zobaczę go więcej. Biegnać z Grójeckiej, odwrócić się jeszcze i zobaczyć, jak nasz dom płonie. Wszystko tak nagle się zmieniło.

Złoty pierścionek

Nie! Tylko nie moja walizka! – krzychała jedna z kobiet z mojego transportu, kiedy dotarliśmy na rampę w Brzezince. Po przybyciu do obozu hitlerowcy zabierali nam ubrania, nasze rzeczy, o ile walizki nie zostały rozkradzione wcześniej przez niemieckich żołnierzy.

Z rampy zaprowadzili nas pod cuchnący prysznic, z którego leciała brudna i równie śmierdząca woda. Miałam wrażenie, że po „kąpeli” byłam bardziej brudna niż przed nią. Później dostałam obozowe ubranie. Trafiła mi się jedwabna sukienka. Cóż z tego, że jedwabna, skoro na plecach była zamalowana czerwoną farbą. Więzień polityczny.

Kobieta, na którą patrzyłam, była elegancko ubrana i pomimo kilku dniowej tułaczki, która zapewne ją spotkała (jak każda z nas), wyglądała na zadbaną. Miała na sobie futro. Sądzę, że było prawdziwe. Głowę zdobił bordowy kapelusz. Widząc jej przerażone oczy, kiedy esesmani wydzierali jej z rąk walizkę, nie musiałam się długo zastanawiać, by stwierdzić, co znajduje się w środku. Każdy, kogo zainteresowała ta scena, domyślił się. Niezainteresowani i tak lada chwila mieli się dowiedzieć. Przy szarpaninie torba rozpięła się i wysypały się z niej kosztowności. Były to szlachetne kamienie, złota biżuteria, srebrne monety, perłowe naszyjniki. Ja nie miałam przy sobie wiele rzeczy. Jak większość z nas, więźniów. W tobołku pod pachą kilka ubrań, które i tak zostały nam odebrane, ślubne zdjęcie i kilka sztuczków – prezent ślubny. Nie mogłam zrozumieć zachowania tej kobiety. Nie myślała o tym, czy przeżyje? Bardziej interesowały ją bogactwa, które na nic zdały się w tym miejscu. Esesmani zabierali, co chcieli, bez pytania. Zachowywali się, jakby wszystko na tym terytorium było ich własnością. Łącznie z nami.

Po ziemi turlał się jeszcze złoty pierścionek. Utkwiłam w nim wzrok. Poczulałam ściśnięcie w klatce piersiowej i spojrzałam na serdeczny palec u prawej ręki. Nie było na nim pierścionka zaręczynowego. I przypomniałam sobie moje ostatnie spotkanie z Henrykiem.

15-letnia Leokadia
z bratem Jankiem,
przyszłym mężem
Henrykiem i koleżanką.
Fot. Archiwum rodzinne



Do Auschwitz w rocznicę ślubu

Do obozu zostaliśmy skierowani całą rodziną. Jedyne, co wówczas odczuwałam, to strach. Stracę rodzinę, nie zobaczę nigdy więcej Henryka... A jeśli nawet nam się uda, to nie mamy domu, nie mamy do czego wracać... Stałam na Dworcu Zachodnim wśród spanikowanych rodzin. Matki płakały, ściskając w ramionach swoje dzieci, a te, niczego nieświadome, rozglądały się w zdumieniu dookoła. Niektóre pary zamarły w mocnym uścisku. Inni biegali, jakby gorączkowo szukali pomysłu na to, jak uciec i nie trafić do obozu. A niektórzy, tak jak ja, stali sparaliżowani strachem i patrzyli gdzieś przed siebie. Transportem z Warszawy jechaliśmy wszyscy, oprócz taty, który wyruszył, wtedy jeszcze, w nieznaną. Nasz pociąg zatrzymał się po drodze w obozie przejściowym w Pruszkowie. Plotka już niesła, że wiozą nas do Oświęcimia. Uznałbym wtedy z mamą, że Henryk musi uciekać. Pruszkowski obóz słynął z tego, że wielu więźniom się to udało.

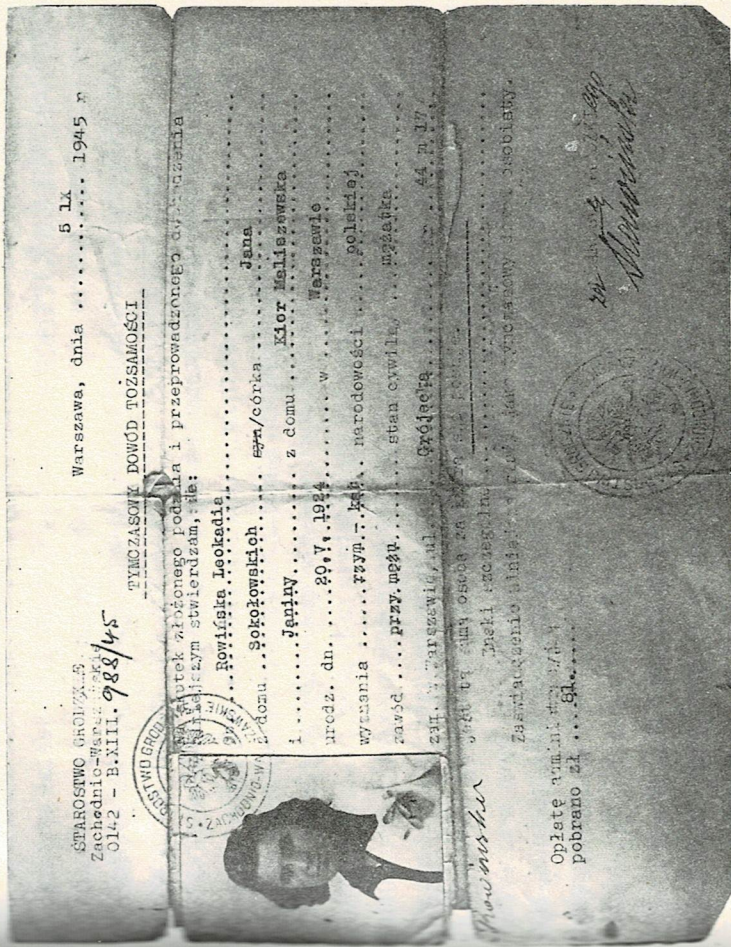
Pod sercem od trzech miesięcy nosiłam nowe życie. Nie chciałam, aby mój mąż zginął w obozie. Henryk był przecież uciekinierem z Niemiec. Od razu skazaliby go na śmierć. Przekonywałam go razem z moją mamą, że jak urodzi się dziecko, muszę mieć do kogo wracać. Staralam się go pocieszyć, że kierują nas tam do pracy i kiedy urodzę, wyślą mnie do domu. Czy w to wierzyłam? Nie. Ale bardzo chciałam wierzyć. Henryk na moją prośbę uciekł z dworca w Pruszkowie. Udał się do Łaz, tam jego ojciec wywiózł całą rodzinę. Ustaliliśmy, że jeśli wyjdziemy z tego cało, zarówno ja, jak i mama przyjedziemy do nich właśnie pod ten adres.

Nie tak miało wyglądać nasze życie po ślubie...

W pierwszą rocznicę ślubu byłam już w niemieckim obozie zagłady Auschwitz.

Tak rozdzielono naszą rodzinę.

Leokadia
Bawłńska
i koleżanką,
Warszawa.
Fot. Archiwum
rodzinne



Przedwojenny dowód osobisty Leokadii. Fot. Archiwum rodzinne

W Pruszkowie, podobnie jak w Warszawie, Niemcy wpełnęli nas na siłę (osobno kobiety i mężczyźni) do bydzących wagonów. Było w nich ciemno, duszno, a jedyne, ledwo dostrzegalne smugi światła przenikały przez malutkie okienka.

Na rampę wypuszczono nas nocą. W Birkenau byli wówczas więzieni mężczyźni. Podbiegali do nas po kryjomu i pytali:

– Kto z Ochoty? Kto ze Śródmieścia? Kto ze Starego Miasta?

Szukali swoich. Chcieli wiedzieć, czy ktoś z ich rodziny tu przyjechał, czy żyje ojciec, matka, brat...

Rankiem zrobiono selekcję. Gestapowcy pytali, kto jest chory, na co i czy są wśród kobiet ciężarne.

– Zgłoś się – podpowiedziała mama. – Może odeślą cię do domu. Chciała dla mnie jak najlepiej.

Nie mogła wiedzieć, że obie zostaniemy w obozie jako więźniarki, a ona trafi niebawem do Bergen-Belsen³⁵ do Niemiec. Ja zaś zostałam w Auschwitzu zupełnie sama.

Jedwabna sukienka

Dopóki w Oświęcimiu byłam z mamą, łatwiej było mi przetrwać. Poświęcałam się dla mnie. Nie chciałam, aby się głodziła, ona jednak rezygnowała z jedzenia, a mnie i swojemu nienarodzonemu jeszcze wnukowi przynosiła dodatkowe porcje. Dzięki mamie miałam więc nie pół, a litr zupy, nie jedną, a dwie lub półtorej kromki chleba. Raz nawet za jedzenie, którego sobie odmówiła, kupiła mi od innych więźniarek sznurowane buty! W ślubnych, w których tu przyjechałam, nie dałabym rady przetrwać, szczególnie zimą. Wszędzie było błoto. Nogi zapadały się prawie po kostki. Drewniane trepy, w których poruszały się inne dziewczyny, spadały im z gołych nóg i zostawały w tym bagnie. Nie wiem, jakim cudem, ale moje ślubne buty udało mi się przywieźć do domu z powrotem.

Gdy mamę wywieźli do innego obozu, było mi o wiele trudniej. Hitlerowcy kazali ciężarnym przebywać w baraku. Prawie cały czas leżałam na prycy. Przykrywałam się szorstkim, brudnym kocem. Kiedy nadchodziła pora obiadowa, zazwyczaj to mnie wysyłano po ciężki gar zupy. Byłam w trzecim miesiącu ciąży, inne kobiety miały dużo większe brzuchy.

³⁵ KL Bergen-Belsen – nazistowski obóz koncentracyjny istniejący w latach 1940–1945 w pobliżu miasta Bergen w Niemczech. Odegrał ważną rolę w dziejach tzw. Marszów Śmierci.

Łokadnia
kucharska,
1941 rok.
Fot. Archiwum
rodziny



Blokowe, Żydówki, wykorzystywały mnie, a ja nie miałam siły. Bolał mnie brzuch, martwiłam się o dziecko. Modliłam się. Właściwie tylko to mi pozostało.

W obozie wiele razy mijałam grupy dzieci. Kilkulatki szły parami, trzymały się za rączki. W wolnej ręce każde miało po pół bochenka nieduzego chleba. Pewnego dnia powiedziała mi blokowej, że strasznie im zadrószczył Maluchy są normalnie ubrane, mają chleb i pewnie właśnie wędrują na wolność.

– To ty taka głupia jesteś? – parsknęła jedna z Żydówek. – Zaraz będą łwować z kolumna!

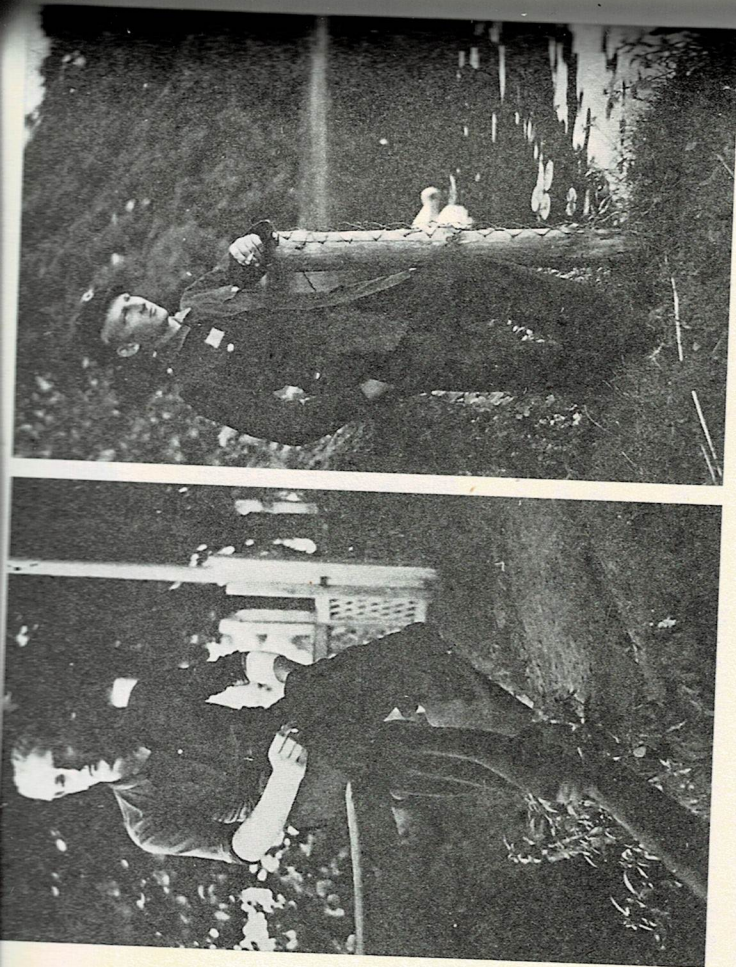
Dopiero wtedy zorientowałam się, że droga, którą szły dzieci, prowadziła wprost do pieca kremacyjnego.

Twarze

*Gdyby tam szedł twój ojciec, twój brat lub syn – nie poznasz, tak starzec podobny jest do młodzieńca swą wątłą postacią, a młody chłopiec poorany matwarz jak starzec*³⁶.

Zapadło mi w pamięć wiele osób z obozu. Hilda, Niemka, trafiła do Auschwitz tylko dlatego, że zakochała się w Polaku i urodziła mu dziecko. Zawsze była taka radosna! Kiedy miałyśmy czas na spacer, biegła w stronę

³⁶ S. Szmaglewska, *Dymy nad Birkenau*, Warszawa 2012, s. 21.



Henryk Rowiński, Berlin 1941 rok. Fot. Archiwum rodzinne

drutów do chłopaka, który czekał po drugiej stronie (obóz męski znajdował się zaraz za drutami, tuż przy „naszym” bloku 12). Hilda miała rude włosy, jak na obóz dosyć długie. Gdy biegła, powiewały pięknie. Mnie podczas drugiej „kąpieli” hitlerowcy ogolili głowę całkowicie, do skóry.

Pamiętam również piękną góralkę z Zakopanego, córkę kobiety, która do Auschwitz przyjechała z wielką walizką kosztowności. Chciała za nie kupić wolność.

Wspominam też Niemkę z synkiem, który miał jasne blond włosy. Mieszkała w osobnym pomieszczeniu. Nigdy się do nas nie odzywała, nie często wychodziła. Nic o niej nie wiedzieliśmy.

Najbardziej jednak w głowie utkwiły mi szare, wręcz przeźroczyste z głodu i wyczerpania twarze. Twarze ludzi przecierających wciąż te same szlaki pomiędzy drutem kolczastym. Ze wzrokiem utkwionym przed siebie, jakby patrzyli na coś konkretnego, choć tak naprawdę zaglądali w nicność. Twarze matek rozdzielonych z dziećmi, buzie dzieci nierozumiejących, dlaczego ich rodzice zostali rozstrzelani. Twarze córek, których nikt nie przy-

Leokadia z mężem. Fot. Archiwum rodzinne



tuli, synów, których matki nie ucałują w spracowane czoła. Twarze osób, których nikt nie pochowa. Twarze nieruchome, ponadgrzyzane przez ogromne szczury. Te trupy twarze zostaną mi w pamięci najdłużej.

Szkarłat na śniegu

Przyszła sroga zima. Mróz sięgał dwudziestu siedmiu stopni. Zbliżał się front i ogłoszono ewakuację Auschwitz. Widziałam Hildę, kiedy wychodziła z obozu. Na sankach, które zrobił jej ukochany Polak, wywoziła owinięte kocami dziecko. Nie wiedziałam, czy chcę opuszczać lager, bo poza nim była wielka niewiadoma. Dokąd nas zaprowadzą?

Mimo obaw 17 stycznia 1945 roku wyruszyłam z Auschwitz jako jedna z kilkuset uczestniczek Marszu Śmierci. Szłam w grupie z Niemkami. Łudziłam się, że dzięki temu uda mi się szybciej wrócić do bliskich. Sądziłam, że potraktują nas mniej restrykcyjnie niż inne więźniarki. Może wysłały szybciej do domu, wsadzą do pociągów, nie każą pokonywać pieszo morderczo długiej trasy?

czulam się dobrze, doskwierały mi bóle brzucha, puchły nogi. Ciągle byłam głodna, a z głodu bardzo słaba. Moje dzieciątko cierpiało i głodowało razem ze mną.

Hitlerowcy doprowadzili nas do rowu poza obozem. Zmierzczało. Nie miałem z latarką w dłoni podchodzić do każdej z nas i świecić prosto w twarz. Jeśli któraś była starsza, schorowana, to odpychał ją na bok. Miała zostać w obozie. Kobiety zdawały sobie sprawę, że to wyrok śmierci. Mnie esesmani przepuścili dalej, więc poszłam przed siebie. Nie wiedziałam, jak długo dam radę iść i co się stanie z moim dzieckiem. Słyszałam rozmowy więźniaków, że gnają nas w stronę Wodzisławia Śląskiego.

Pierwszy widok za murami obozu? Wielka kałuża krwi na śniegu spływała po jezdni cienką smużką. Kilka kroków dalej, pod drzewem, leżała zamarnięta kobieta, skulona, jakby ostatkiem nadziei chciała ogrzać się, nim zaśnie. Po rowach i przy drodze leżały pojedyncze trupy. Co chwilę słychać było serię z karabinu lub jakiś pojedynczy strzał. I znów nastawała cisza. Człowiek bał się drugiego człowieka. Niemcy chcieli się pozbyć



Leokadia z kuzynką Jadwigą
Kamińską, 1940 rok.
Fot. Archiwum rodzinne

wiadków zagłady w obozie. Zdawałam sobie sprawę, że esesmanom zależy teraz na zatarciu dowodów zbrodni, które się dopuścili. Dziś zastanawiam się, na co liczyli. Czy myśleli, że świat nie zauważy, wcześniej czy później, tych karygodnych czynów, stosów trupów pozostałych w niemieckich obozach, pieców, które nieudolnie chcieli wysadzić w powietrze?

Podczas Marszu Śmierci wspominałam mojego starszego braciśzka, Stanisława. Trafił do Auschwitz z pierwszym transportem. Miał tylko osiemnaście lat. Niewiele mniej niż ja, gdy trafiłam do obozu. Rodzice chcieli zaopiecznić te wywoźce. Podpowiedzieli bratu, aby zgłosił się po zaświadczenie o nauce do szkoły, do której uczęszczał. Na uczelni dostał dokument potwierdzający, że chodzi do szkoły wieczorowej, ale i tak został wysłany do obozu. Niestety. Pewnego dnia moja mama otrzymała od niego list. Prosił w nim o przysłanie ciepłych ubrań, bo tam, gdzie się znalazł, jest bardzo zimno. Mama kupiła grube skarpety i ciepłą koszulę nocną. Wysłała na wskazany adres. 4 grudnia 1940 roku dostała jednak telegram z wezwaniem na Szucha. Miała odebrać prochy swojego brata. Nie uwierzyła w jego śmierć. Tym bardziej, że w dokumentach widniał Juliusz, a jej syn to Stach! Nie podpisała pokwitowania. Niedługo później do domu wróciła paczka wysłana do Auschwitz. Razem z zakrwawioną koszulą. Bardzo kochałam swojego braciśzka i brakowało mi go. Paraliżowała mnie myśl, że wszyscy tak zakończymy.

Kiedy marzłam i traciłam czucie w palcach u nóg, przyglądałam się więźniarkom, które były ciepło ubrane. Najczęściej były to Żydówki. Miały swetry lub płaszczki i ciepłe buty. One często pracowały na Kanadzie, gdzie odbierały od *Zugang* ubrania i pakowały je do worków. Po kryjomu podbięły to, co było im potrzebne albo się podobało. A ja i inne, owinięte kocami, dygotałyśmy z zimna.

Kiedy dotarliśmy do Pszczyny, gestapowcy kazali nam odpocząć. Jedna z Żydówek rozpakowała swoje rzeczy i jadła chleb. Na śniegu przez przypadek zostawiła ciepłą koszulę nocną. Rozejrzałam się, czy nikt nie widzi, i wzięłam ją. Musiałam sobie jakoś radzić. Każdy walczył o przeżycie. Założyłam koszulę na siebie i znów owinięłam się kocem. Było mi ciepłej. Taki nabytek mógł przydać się też później – mogłam go wymienić na inne potrzebne rzeczy.

Dalej pędzili nas do Poręby, pierwszej wsi zaraz za Pszczyną. Blisko sześć kilometrów. Tu mieliśmy zostać na noc. Nie miałam już nadziei, szłam na samym końcu, ostatkiem sił, czekając, aż Niemiec wreszcie wymierzy karabin w moją stronę. Rzeczywiście podszedł do mnie, ale na szczęście tylko popchnął kilka razy i oszczędził. Może miał w domu żonę w ciąży.

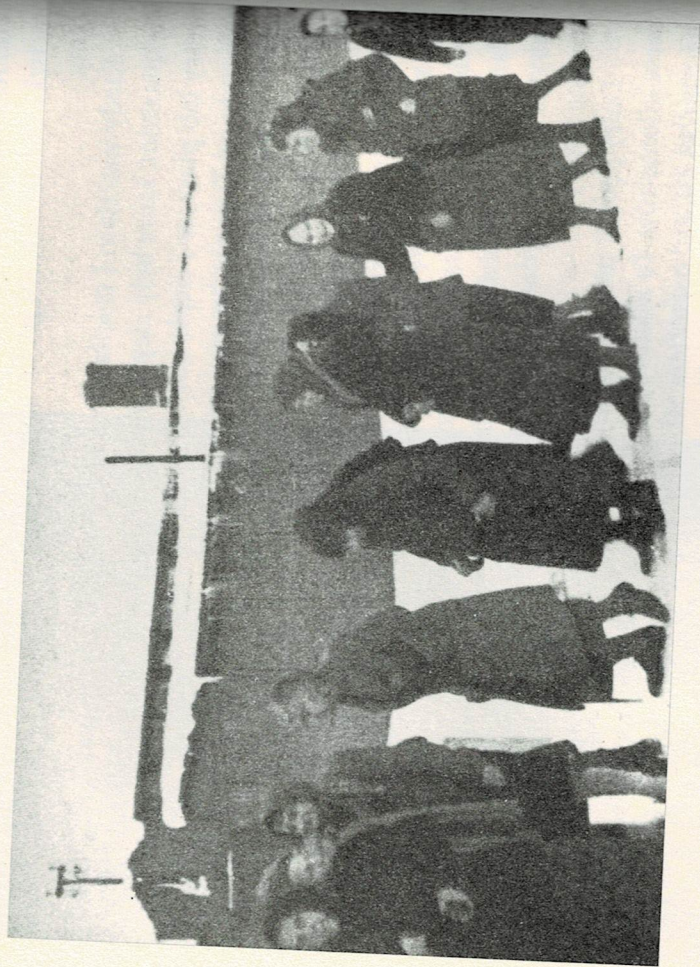
Nie było miejsca w żadnej gospodzie

Gdy cudem dotarłam do wsi Poręba, już nie było dla mnie miejsca. Przy szłam ostatnia. Ludzie, którzy mieli warunki i chęć, aby przyjąć kogoś pod dach, udostępnili każdą wolną przestrzeń tym, którzy zjawili się wcześniej. Zaglądałam do każdej gospody. Jedni odmawiali, inni wręcz mnie prześlizgnęli. Stałam bezradnie pośrodku chaosu panującego dookoła. Popłynęły łzy. Głódna, zmarznęta, bez sił, tuż przed porodem. „Pomocy!” – krzyczałam w myślach. „Pomocy, ratujcie mnie i moje dziecko!”.

Odpowiedziały mi tylko ciska, siarczyste mróz i ludzka obojętność, która mimo tego, co już przeżyłam, nieustannie mnie zaskakiwała.

Wtedy dostrzegłam niewielki folwark. Stary i nieduży domek stał na uboczu, a po drabinie na strych wchodziła jedna z więźniarek. Nie zastanawiając się długo, podjęłam decyzję, że nie będę pytać, po prostu podążę za nią. Muszę się ratować. Kiedy wreszcie udało mi się wdrapać na górę, rozpoczęły się bóle porodowe.

Na strychu było już kilka kobiet. Rozłożyły sobie słomę na podłodze i ułożyły się do snu. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Jęczałam prawie całą



Po wyzwoleniu obozu. Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

nie w pocie i bólu. Moje ukochane dziecko. Pragnęłam dla niego tego, co najlepsze. Jedna z kobiet zlitowała się wreszcie i zeszła na dół do właścicielki gospody, pani Kurtok. Powiedziała jej, że zaczęłam rodzić. Na dole w pokoju spały blokowe. Znajdowała się tam też Niemka z córką i dwie dziewczynki: Monika i Marta z dziećmi. Wszystkie w małym pomieszczeniu, w którym ledwo mieściły się krzesła, stół i łóżko. Blokowa ustąpiła mi miejsca i pozwoliła usiąść na jednym z krzesel. Inne kobiety niechętnie na to przystały. Ale Marta chciała mi pomóc.

Po niedługiej chwili do pokoju wpadł Niemiec.

– *Raus!* – krzyknął i przepędził wszystkie kobiety. Ja zostałam, było mi już wszystko jedno, jeśli mają mnie zabić, to nawet tu. Rodziłam. Nikt nie będzie mnie teraz przepędzał. Pocułam się nagle bardziej odważna i silna. Miałam ważną misję do wykonania. Szczęście w nieszczęściu, że jedna z kobiet, z Poznania, dobrze znała język. Wytłumaczyła więc po niemiecku, że rodzę i nie mogę teraz iść. Pani Kurtok powiedziała, że jestem jej córką. Niemiec machnął ręką i wyszedł. Więcej po mnie nie wrócił.

Bez poduszki, bez pieluszki

Przesiedziałam na krzesle resztę nocy. Jęczałam z bólu. Niemcy mieszkający w domach obok słyszeli te krzyki. Powiedzieli, że mnie zabiją, jeśli „nie stulę gęby”. Zaciskałam więc zęby w brudnym kocu obozowym, chcąc stłumić krzyk spowodowany bólem. Ktoś pobiegł do sąsiedniej wsi po akuszerkę. Nie zdążył jednak, bo dziecko już się urodziło. Ireneusz przyszedł na świat w ciszy 21 stycznia 1945 roku. Nie zakwilił, nie zapłakał ani razu. Całe jego malutkie i chude ciało pokryte było czymś, co przypominało otręby. Nie miałam dla niego poduszki ani pieluszki. Chciałam go nakarmić, ale nie miałam czym. Moje piersi nie miały pokarmu. Serce pękało mi z żalu. Tuliłam go tylko mocno. Nie mogłam mu dać nic więcej. Jakaś kobieta przyniosła troszkę ciepłego mleka od krowy. Ireneuskowi ciągle się ulewało, nie mógł jeść. Ktoś przyniósł becik po swoim zmarłym dziecku, ktoś inny – potargany smoczek. Iruś nie ruszał się dużo, nie płakał.

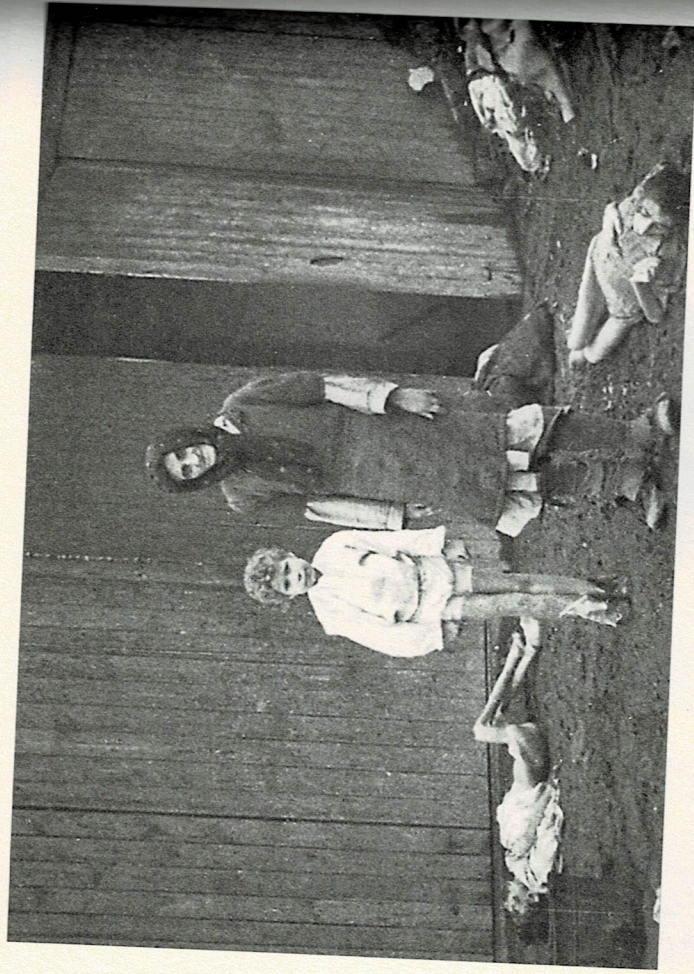
Bardzo zależało mi, aby ochrzcić synka. Pewna kobieta zaprowadziła mnie do katolickiego księdza, który był Niemcem. Nie mogłam uwierzyć, że odmówił chrztu, bo dziecko było polskie. Wtedy ta kobieta powiedziała mi, że same ochrzcimy dziecko, że tak można. Nie czekałyśmy ani chwili. Ireneusz Antoni Rowiński. Drugie imię otrzymał po dziadku.

Gdy Niemcy zaczęli się wycofywać, nakazali wszystkim mieszkańcom i więźniom odsuwać się od szosy w głąb wsi. Pani Kurtok, właścicielka folwarku, w którym urodził synka, mieszkała przy samej szosie. Polecili mi iść do dwóch wdów, Niemek mieszkających po drugiej stronie wsi. Za nim wybrałam się do nich, przyszedł do nas mężczyzna, który odmówił mi wcześniej noclegu.

– Jest pani po porodzie – powiedział do mnie. – Proszę, to dla pani. Musi się pani teraz lepiej odżywiać. – I podał mi wielki krowi udziec. Byłam mu wdzięczna. To był pierwszy porządny posiłek, jaki miałam w ustach od momentu, kiedy z Dworca Zachodniego wywieźli mnie z rodziną do Auschwitz.

Po drodze zajrzałam do dwóch starszych kobiet. Słyszałam, że jedna z nich odbierała porody. W ich kuchni wisiał ogromny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. „Pomogą mi” – pomyślałam. Ale odmówiły.

Dotarłam wreszcie do dwóch wdów, do których pani Kurtok, opuszczając folwark, poleciła mi iść. Nawet mnie nie wpuściły do domu. Bały się tego



Jugosłowianka W. Taus i mała Czeszka K. Beer po wyzwoleniu obozu. Kadr z filmu nakręconego przez żołnierzy Armii Czerwonej. Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

winnego, ledwo żyjącego dziecka? A on ledwie oczka otworzył, odkąd się urodził, może raz albo dwa spojrział na mnie. Oczy miał niebieskie.

Musiłam się gdzieś podziąć. Postanowiłam zaryzykować i wrócić do folwarku. Może jest otwarty. Spotkany przypadkiem Ukrainiec zdecydował się mi pomóc.

– Proszę jeszcze raz pójść do wdów. Powiedziałem im, że mają panią przyjąć.

Zrobiłam, jak polecił. Kazały mi spać w jednym pokoju z tym Ukraincem. Bałam się go. Wiedziałam, co jego rodacy robią kobietom. Nim je zabiją, gwałcą. Nie miałam jednak innego wyjścia. Położyłam się z mężczyzną na jednym łóżku, w ramiona wtuliłam Irusia, ale nie spałam całą noc. Obserwowałam każdy ruch tego człowieka, jego oddech, byłam gotowa bronić siebie i dziecka. Następnego dnia Ukrainiec dał mi w prezencie ciepłą bieliznę. Prosił, aby nikomu o tym nie mówić.

– Myśli pani, że mąż jeszcze żyje? – zapytał niespodziewanie. – Mam swoją masarnię, a więc i wystarczająco dużo pieniędzy. Mogę pani pomóc wychować dziecko – zaferował, co było widać, szczerze. Podziękowałam mu za dobre chęci. Wierzyłam, że mój mąż żyje. Chciałam z Irusiem wrócić do domu.

Synka tuliłam w ramionach przez dziewięć dni. Niestety Ireneusz Antoni zmarł. Odszedł w ciszy, tak samo jak w niej przyszedł. Nie zapłakał ani razu.

Za Porębą stała kapliczka Świętego Józefa. Znajdowała się pomiędzy dwiema lipami. Tam, w pudełku po makaronie, pochowałam mojego synka.

Kręte ścieżki prowadzą do domu

Niemcy kazali opuścić Porębę wszystkim, którzy nie byli w niej zameldowani. Musiałam więc iść. Zanim to się stało, jakaś Niemka, która była właścicielką dużego folwarku, podała mi przez swoją służącą nową, ciepłą chustkę. Dostałam od niej także bochenek chleba i spory kawałek słoniny. Nie wiem, jak nazywała się ta dobra kobieta, nigdy nie widziałam jej twarzy. Służąca, która do mnie przyszła, powiedziała tylko, że to podarunek na drogę do domu.

Byłam sama, nie miałam nikogo. Żadnych przyjaciół, znajomych ani rodziny. Nawet synek, aniołek, opuścił mnie. Nie wiedziałam, któredy iść, jak dostać się do domu. Przy szosie stały cztery kobiety, ciepło ubrane – rozpoznałam, że to Żydówki. One też próbowały wrócić do siebie, postanowiłam, że do nich dołączę.

Przez długi czas sżyłszy drogą. Chociaż doskwierało zmęczenie i ból nóg, czasami można było coś zjeść, ktoś mieszkający we wsi poratował kubkiem gorącej zupy czy kawałkiem chleba. Drogi pomiędzy wsiami były opustoszałe. Rzadko ktoś nimi jeździł, tylko rolnicy od czasu do czasu przemieszczali się, by załatwić swoje sprawy. Któregoś razu usłyszałyśmy zbliżający się w naszą stronę samochód. Ciężarówka. Kierował nią Ukraińiec.

– Skąd idziecie, dokąd chcecie się dostać, jesteście tu same? – wypytywał. Wiadomo, że niebezpiecznie jest samotnie podróżować z nieznanymi mi, ale nas było aż pięć – myślałyśmy. Trudno było wejść na pakę ciężarówki. Kierowca pomógł każdej z osobna. Po kilku kilometrach samochód zatrzymał się nagle i Ukrainiec zaproponował, żeby jedna z nas usiadła z nim z przodu, bo tam jest ciepło. Sam wybrał jedną z Żydówek. Ujechałyśmy może kilometr, gdy ta zaczęła krzyczeć i pięściami uderzać w tył kabiny. Mężczyzna też wykrzykiwał jakieś przekleństwa. Chciał ją zgwałcić. Na szczęście udało się jej uwolnić. Cała nasza piątka z powrotem znalazła się na drodze. Dalej sżyłszy pieszo.

Dostałyśmy się do Katowic, gdzie trzy Żydówki się odłączyły. Ktoś podwiózł nas do Częstochowy. Byłam coraz bliżej domu. Poszłam do klasztoru na Jasnej Górze podziękować Matce Boskiej za ocalenie z Auschwitz. Za to, że chociaż mój syn zmarł po porodzie, mogłam go tulić przez kilka dni w swoich ramionach i ochrzczonego pochowałam na wolnej ziemi. Dziękowałam, że nie byłam zmuszona zostawić go na cmentarzysku, jakim był obóz zagłady. Wzruszyłam się tą chwilą. Człowiek wierzący to człowiek wolny.

Z Częstochowy wyjeżdżał pociąg do Warszawy. Na dworcu czekało mnóstwo ludzi. Ciężko było wejść do wagonu, panował okropny gwar, były przepychanki i wyzwiska. Ze wszystkich sił chciałam stąd wyjechać. Próbowalam wcisnąć się do pociągu, ale wewnątrz nie było miejsca. Na szczęście kolejarz wskazał mi pomieszczenie przy wagonie, do którego weszłam i mogłam wreszcie ruszyć w kierunku domu.

Radosne powroty

W obozie przebywałam z matką narzeczonej mojego brata Janka. Powiedziała mi, że jeśli z obozu wyjdziemy żywi, a nasze domy będą zburzone, możemy przyjechać do ich domu w Grodzisku. Mieszkanie znajdowało się na Mątwy 1. Kiedy więc pociąg, którym wracałam, zatrzymał się w Warszawie,

od razu udałam się do Grodziska. Mój dom został spalony, widziałam to na własne oczy. Nie miałam do czego wracać. W Grodzisku zastałam dwie dziewczyny, siostry, jedna z nich była narzeczoną mojego brata.

Kazały mi zrzucić z siebie stare łachmany i wrzuciły je do pieca. Wykapalam się, ubrałam w ich czyste ciuchy i poczułam się jak nowo narodzona.

Dowiedziałam się, że mój mąż poszukiwał mnie w Warszawie. Aby go znaleźć, wyruszyłam w stronę Łaz i spotkałyśmy się po drodze! Cóż to była za radość! Zamieszkałyśmy na ulicy Grojeckiej 44, tuż przy placu Narutowicza. Tego domu dziś już nie ma, został rozebrany. Dzielił się dwa małe pokoiki z rodziną mojego męża, a gdy pół roku później wróciła moja mama, również z nią.

Ja z Henrykiem, moja mama oraz dwoje dzieci, które zdążyłam później urodzić – przez lata żyliśmy w piątce w jednym pokoju. Dopiero gdy rodzina męża otrzymała inne mieszkanie, rozgościliśmy się w dwóch pokojach. Wreszcie wszystkim było wygodnie.

Pamiętam, że kolega męża zrobił dla mojej córeczki małe buciki z bułków wojskowych. Jola w nich później chodziła. Mam to nawet uwiecznione na fotografiach.

Henryk tuż po zakończeniu wojny został powołany do wojska do Lublina. Po zakończeniu służby pracował w Centralnym Kolportażu Wojskowym. Prosiłam go, aby i mnie polecił tam do pracy. On jednak uważał, że powinien być w domu z dziećmi. Z natury byłam upartą osobą, chciałam wyjść z domu, przebywać z ludźmi, pracować, sama więc wybrałam się do szefa mojego męża i poprosiłam o tę pracę. Początkowo zatrudnili mnie tylko na próbę. Kiedy jednak dostrzegli, że pracuję sumiennie i skrupulatnie, dostałam stałą posadę, a z czasem zajęłam stanowisko kierownicze.

Najmłodsza Ofiara Marszu Śmierci

Na cmentarzu w Pszczynie znajduje się pomnik Ofiar Marszu Śmierci, gdzie w zbiorowej mogile spoczywa kilkudziesięciu więźniów, którzy zginęli – w wyniku rozstrzelania bądź wycieńczenia – po ewakuacji obozu KL Auschwitz. Niewiele brakowało, a leżałabym wśród nich.

W sześćdziesiątą szóstą rocznicę urodzin Irka, to jest 21 stycznia 2011 roku, odsłoniłam na tym pomniku tablicę ufundowaną przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Widnieje na niej inskrypcja:

Pamięci Ireneusza Rowińskiego, najmłodszej Ofiary Marszu Śmierci, urodzonego we wsi Poręba przez więźniarkę Leokadię Rowińską 21 stycznia 1945 roku. Żył dziewięć dni.

To była dla mnie ważna chwila. Wolontariuszki długo walczyły, aby najmłodszej Ofierze Marszu Śmierci, Ireneuszkowi, postawiono osobną tablicę lub napis. Niewinne dziecko przez nienawiść Niemców zostało pozbawione możliwości życia na naszym świecie. Na ziemi, która powinna być wolna dla wszystkich ludzi, niezależnie od rasy, narodowości, ideologii.

Uroczystość odsłonięcia tablicy poprzedziła msza w kościele Świętej Jadwigi Śląskiej w Pszczynie. Wśród modlących się w kościele byli więźniowie Auschwitz-Birkenau i kombatanci Armii Krajowej. Liturgię celebrował kapłan major Mariusz Tołwiński, kapelan „Czerwonych Beretów” z 18. Białego Batalionu Desantowo-Szturmowego.



Córka pani Leokadii, Jola, w bucikach wykonanych z butów wojskowych przez kolegę męża Leokadii w Berlinie. Fot. Archiwum rodzinne